№ 13. Warszawa, dnia 26 (14) Marca 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

J. I. KRASZEWSKI

umarł w Genewie dnia 19 marca.

Myśl przywdziewa żałobę i klęka przy tych zwłokach. Klęcząc, nie modli się, lecz płacze, bo nie grzechy zmarłego rozpamiętywa, ale cnoty i zasługi. W grób rzuca mu sławę i wdzięczność, odmawiając ten psalm pogrzebowy, którym czci tylko największych.

Z grobu wybłyska słup ognisty, który swe blaski rzuca w odległe wieki. Zniknąłeś jako ciało, a stanąłeś w pamięci naszej jako duch z koroną promienną, współczesnych i potomnych wysoko przerastający. Z duszy Twej wypłynęła szeroka rzeka natchnień, w której dotąd niezliczone rzesze odżywczy napój czerpią. Pióro Twoje było laską Mojżeszową, którą zdrój ze skał wydobywałeś. Byłeś dębem rozłożystym, który od spiekoty osłaniał rozległą niwę i na którego gałęziach ptactwo niezliczone gniazda sobie usłało. Byłeś niewyczerpaną kopalnią klejnotów drogich. Byłeś górą winnym krzewem obrosłą.

Gdy spojrzymy na pole literatury naszej, widzimy, jakie obszary Tyś sam uprawił; gdy otworzymy jej skarbiec, zdumiewamy się, jak olbrzymią sumę Tyś mu ofiarował. Gdybyś zabrał z sobą do grobu wszystko, co Tobie winniśmy, zubożyłbyś nas. Przez Ciebie jesteśmy bogaci. Nikt nas obficiej nie obdarował.

Miłość dla społeczeństwa była namaszczeniem Twej duszy. Kochałeś jego szczęście rzeczywiste i wyśnione. W każde słowo pragnień wsączałeś kroplę tego uczucia. Gdyś nie dostrzegał gdzie światła, toś je rozpalał; gdyś ujrzał lody, toś je roztapiał. Broniłeś naród od głodu, zmarznięcia i zarazy. Chociaż stado drzemało, Tyś jak żóraw czuwał nad niem i przed niebezpieczeństwem ostrzegał.

Śmierć zdmuchnęła dogasający płomyk Twego życia doczesnego, ale zatoczyła nad głową Twego cienia świetlany krąg pozgonnej sławy. Co dałeś społeczeństwu jako dobrą wolę, to wraca Ci ono jako głęboką wdzięczność. Jest to wdzięczność niezmierzona. Bo gdziekolwiek sięgnął Twój wpływ, zewsząd tryska dziś żal. A kto określić zdoła jego granice? Widzimy tylko, że każdy umysł rozwidniony okrywa się smutkiem. I ci, co należycie stratę oceniają, i ci, co jej objąć nie mogą, czują wspólnie, że padłeś jako olbrzym, że ziemia upomniała się o swe prawa i skryła w swem łonie wielkiego człowieka, któremu liczbą dzieł i pracą nikt jeszcze nie dorównał. Bo jako pracownik niestrudzony byłeś jedynym w rodzie ludzkim. Bądź więc za to pochwalony!

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek kwartalny: **Społeczeństwa zwierzęce** Espinasa.

POLITYKA.

NOWY GOŁĄBEK.

Wzdychając słusznie nad obecnem położeniem, jeden z korespondentów wyraził się: „mamy pokój, ale *zły* pokój.“ Ile smutków, nędzy, rozpaczy, trwogi i cierpienia mieści się w tym jednym wyrazie — wykazywać nie potrzebujemy. Rzeczywiście jest to pokój *zły*. Dotąd zwał się „zbrojnym,“ ale to miano nie wyrażało jeszcze całkowicie jego natury. Gdy stosunki polityczne naprężają się i pęknięciem grożą, społeczeństwa drżą w przestrachu, ale pocieszają się tem przynajmniej, że już nadszedł koniec niepewności, że wulkan, wybuchnąwszy, uspokoi się i znowu będzie można obsadzić krzewami stoki jego góry. Ale najokropniejszym jest stan przewłoki i udręczeń, w którym obawa pozostaje, tylko niebezpieczeństwo się odsuwa. Taki właśnie stan „złego pokoju“ zapanował dzisiaj. Po trzęsieniach, hukach i łoskotach podziemnych, po kłębieniu się chmur groźnych, nastąpiła cisza, która pogody nie obiecuje, nadziei nie karmi, dobrodziejstwa nie zapewnia, tylko trwogę na długi czas rozciąga. A może to już skończyło się udręczenie? — pytają ludy. Może bez burzy zabłyśnie tęcza? I uczepiwszy się tego mniemania, szukają zwiastunów owej tęczy i zwykle — dostrzegają jej prążki.

Do Berlina przyjechał słynny inżenier francuski — Lesseps. Prasa francuska zaręczyła uroczyście, że mu nie dano żadnej misyi dyplomatycznej, tylko polecono namówić Niemców do przyjęcia udziału w zamierzonej wystawie powszechnej. Za dużo jednak szanowny inżenier złożył wizyt pruskim mężom stanu i monarsze, a nadewszystko za wiele rozmawiał o polityce z nimi i... reporterami. Ci, nie wiedząc już kogo nagabywać i z kogo wydobyć tajemnicę przyszłości, obskoczyli go tłumem i badać zaczęli. „Wszędzie tu (w Berlinie)—rzekł—otrzymałem zapewnienie a nawet doznałem wrażenia pozytywnego, że Niemcy żywią jedynie pokojowe zamiary, które podziela, co z mojej strony mogę poręczyć, również Francya. Istniały *tylko* wzajemne *nieporozumienia*, które teraz się wyjaśniły i zostały usunięte. Przed chwilą odwiedził mnie ks. Bismark i upewnił o pokojowych dążeniach Niemiec.“ A gdy jeden z korespondentów zapytał: „Czy mogę telegrafować do mojego dziennika, że niebezpieczeństwo wojny między Niemcami a Francyą zniknęło?“ — Lesseps odrzekł: „Certainement.“

Przy całym szacunku dla poważnego i dobrotliwego staruszka, niepodobna po przeczytaniu tej rozmowy wstrzymać się od serdecznego śmiechu. Bo jeśli on nie drwił z reporterów — co jest możliwem—to drwił z siebie. Zwłaszcza owo „certainement“ należy do „szczytów,“ które *Figaro* w swych kolumnach nie na chwałę rozumu ludzkiego zamieszcza. Bo trudno istotnie wyobrazić sobie scenę zabawniejszą od tej, w której inżenier francuski, pamiętający straszne zapasy swego narodu z wrogiem, sromotne pognębienie ojczyzny, jej straty i upokorzenia, rany dotąd niezagojone, zemstę dotąd pałającą, wysiłki przygotowujące odwet, a z drugiej strony tygrysią naturę, drapieżność i ruchy groźne — oświadcza z poważną miną, że były to „tylko nieporozumienia“ i że po jego bytności w Berlinie korespondenci mogą już telegrafować do swych gazet radosną wieść zapewnionego pokoju. Jest to obrazek wprost humorystyczny, w którym Lesseps — jeśli nie zdziecinniał i nie został obałamucony przez berlińskiego magika — ze zbyt wielką przesadą odegrał rolę zamaskowanego dyplomaty. Mógł udawać i durzyć, ale tak udawać i durzyć — na to potrzeba albo być debiutantem w sztuce politykowania, albo przypuszczać nieograniczoną łatwowierność ludzką. Czytaliśmy już wiele przejrzystych komedyj dyplomatycznych, ale takiej farsy, jaką urządził „wielki francuz,“ nie zdarzyło nam się spotkać. W zwierzeniach ustnych ze swoimi i obcymi, w podpisach na fotografiach pamiątkowych powtarzał Lesseps jak kos śpiewkę, że Francya i Niemcy są „naturalnymi przyjaciołmi,“ tylko powaśnionymi chwilowo. Roztaczał on naiwnym słuchaczom fantastyczny widok możliwej szczęśliwości, gdyby ci „naturalni przyjaciele“ podali sobie ręce i żyli w zgodzie. Cały świat należałby do nich lub ich woli ulegał. Nie przeczymy, że dwie potęgi tej miary, zjednoczone zwłaszcza pod komendą ks. Bismarka, gospodarowałyby w Europie swobodnie, ale gdzie są warunki dla takiego związku? Gdzie się podzieją wspomnienia historyczne, różnica usposobień, szczepu, ustroju, dążeń? To już nie wywód polityczny, ale maligna gorączkowa, albo naiwność dziecięca. Chociaż pragnęliśmy wytrwać w przypuszczeniu, że Lesseps ma zmysł krytyczny i zgrzeszył jedynie szarżą gry dyplomatycznej, znajdujemy w jego słowach znamiona widoczne tej naiwności. „Ks. Bismark — rzekł on — był u mnie dwukrotnie i za każdym razem *zdumiewał* mnie swoją *dobrodusznością*, jasnością swoich poglądów i *szlachetnością*... Cesarzowa *kocha* Francyę i z całej duszy życzyłaby sobie, ażeby Francya żyła w przyjaźni z Niemcami.“ Podobnych *simplexów* chyba jeszcze świat dyplomatyczny nie oglądał.

W każdem dziecku — jak ktoś powiedział — tkwi geniusz, a w każdym geniuszu dziecko. Jeśli to prawda, Lesseps może poszczycić się i tym dowodem genialności. Co zrobił w Berlinie dla przyszłej wystawy — nie wiemy, a mniemamy, że zrobił

---

3)

POWIEŚĆ.

KRAJOBRAZY.

II. Południowy.

(Dokończenie).

— Już odejść nie mogę, chociaż ty mi rozkazujesz. Po jednej stronie mojego serca stanęła twoja wola, po drugiej — urok; ono korzy się przed obiema temi mocami, ale wtedy dopiero ulegnie pierwszej, gdy odejmiesz ostatnią. Jeśli tego żądasz, pobiegnę jak wicher i oblatywać będę naokoło ziemię, omijając tylko ten gaj, w którym kwiaty z piękności twojej wzory dla swych strojów biorą, przyrosnę daleko do wielkiego dębu, któremu najwścieklejsza burza gałęzi odłamać nie zdoła; ale zgaś wprzód promienie twych oczu, sinym gniewem powlecz wargi, przesłoń twarz gęstą chmurką, niech cię widzieć przestanę, niech nawet twego głosu nie słyszę, tylko życzenie myślą odgaduję.

— Coś ty mi powiedział takiego, że władzę obcą nad moją duszą poczułam? Chwieję się niby wiotka trzcina pod gorącym powiewem, ogarniają mnie tajemniczo płomienie, koło głowy wirują skry niezliczone, wola wybiega na różne drogi i z każdej strwożona się cofa... Przez litość, odwołaj te czary... Ja niczem ci nie zawiniłam, nie chciałam ani wygiąć ku sobie twej drogi prostej, ani zwrócić zwroku twojego... Przędłam w tej samotni rojenia nie na żadne sidła...

— Jutrzenko smutnego wędrowca, nie oskarżaj twej jasności i mojego dla niej uwielbienia: oboje nie zawiniliśmy. Ty zaświeciłaś na niebie, a ja, szukając gwiazdy przewodniej, zapatrzyłem się w twój blask, pod którym olśniony stoję. Tak jesteś oddalona ode mnie, że tylko zachwytnem spojrzeniem dotknąć cię mogę, a ono cię nie pokala, nie przyciągnie, nie skradnie z twych blasków ani jednego temu, któremu wszystkie oddałaś.

— Nikomu...

— Nikomu? Czyż podobna, ażeby one dotąd na żadne serce miłością nie padły i miłością w twojem się nie odbiły?

— Nie.

— Taką dumą natura pierś twoją opancerzyła...

— Raczej trwogą. Koło tego gaju przechodzili dotychczas ludzie albo grzeczni, którzy mi bukiety pochlebstw pod nogi rzucali, albo — jak to sam zauważyłeś — niegodziwi, którzy rozpyloną zręcznie obłudą odurzyć mnie usiłowali. Instynkt ostrzegał moją duszę tam, gdzie jej doświadczenia brakło. Ani razu nie przeniknął mię rozkoszny dreszcz, ani razu nie zawrzała krew, doznawałam zaledwie przelotnych podnieceń lub niewytłomaczonej bojaźni. Dopiero twoja mowa...

— O pozwól mi skrócić jeszcze tę małą przestrzeń, która nas dzieli, zbliżyć się do ciebie na odległość oddechu i szeptu. Nie nadużyję twej dobroci, nie znieważę majestatu kobiecego, nie zbluźnię płochem słowem, a zamilknę, zanim każesz. Jeszcze chęć twoja na usta nie wybiegnie, ja już ją spełnię. Nie bądź dla mnie skąpszą, niż dla tego drzewa, do którego się przytuliłaś i które zgina sztywne konary, ażeby cię nimi uścisnąć i liściami ucałować. Ja twoje ręce i oczy całuję oczami. Boginie ustom czcicieli tej łaski nie odmawiają... Nie pełzam zdradnie, ale idę ku tobie... nie bronisz? Posunąłem się znacznie, rozeznaję już niebieskie żyłki twoich skroni, włoski brwi, krążek źrenicy, zetknięcie płatków różowych i białych na twarzy... zdaje mi się, że widzę czerwone kulki krwi pod delikatnym atłasem twej skóry, ich przyspieszone tętna...

— Ach, ratuj mnie!

— Ręce zarzuciłaś mi na szyję i o ratunek prosisz. Czy mam je rozerwać, a siebie rozpaczliwie cisnąć w otchłań morza, które tam przy brzegu w skałach zamknięte chciwą paszczę otwiera?

— Nie, ale nie prowadź mnie nad krawędzią przepaści, ażebyś nie strącił w nią, gdy ścieżka dla dwojga będzie za wązka.

— Nie zły sen, który straszy marami, ale szczery człowiek, który kocha, w objęciach

wiele. Ale jego oświadczeń i wniosków politycznych niepodobna brać na seryo i należy je zaliczyć albo do nieszczęśliwych popisów udawania dyplomatycznego, albo też do dziecinnej łatwowierności.

A jednakże w pierwszej chwili zaufano im. Poczciwy staruszek znalazł gromadkę, która jego gadaniny uważnie słuchała i roztelegrafowała ją na wszystkie strony. Tu i owdzie zaś chwytano cienką nić pokoju i zawieszano na niej różową nadzieję. Naturalnie powiew zimnego rozsądku musiał zwiać tę zabawkę — dziś już goni ją i łapie dziatwa polityku jąca a ludzie poważni śmiechem żegnają. Dla tych ostatnich pokój tyle wart po, ile przed podróżą Lessepsa, to znaczy nic nie wart. „Wielki francuz“ był „zdumiony dobrodusznością“ ks. Bismarka, niemniej zapewne Bismark był zdumiony dobrodusznością „wielkiego francuza“; ale chociaż pragnąłby on niezawodnie, ażeby jego „naturalna przyjaciółka“ takich tylko miała synów, nie łudzi się, że posiada ona również innych, którzy z nim po władzę nad światem nie sięgną i myślą o... dalszem wzmacnianiu armii.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, 15 marca.

Podczas ostatniej sesyi większość sejmu galicyjskiego uchwaliła zaprowadzenie klas równoległych z rusińskim językiem wykładowym przy gimnazyum polskiem w Przemyślu, zamiast osobnego rusińskiego. Uchwała ta nie zadowoliła rusinów, tem bardziej, że ci z późniejszych artykułów w *Czasie* wywnioskowali, iż umyślnie to im podarowano, co nie mogło otrzymać sankcyi cesarskiej, jak świadczył niedawny los tej samej sprawy. Skutkiem tego poseł B. Kowalski wystąpił w Radzie państwa z żądaniem, ażeby założono w Przemyślu gimnazyum, a w Galicyi dwa seminarya nauczycielskie rusińskie. Komisya szkolna zmieniła jego wniosek w ten sposób, ażeby rząd centralny załatwił go wspólnie z sejmem galicyjskim, gdyż pierwsza droga byłaby niekonstytucyjną.

Tymczasem ludność rusińska popiera Kowalskiego. Oto niedawno wysłało jedno z towarzystw politycznych „Narodna Rada“ do Wiednia prośbę, którą *Diło* nazywa „petition of rights“ — o prawa odmawiane im przez rządzące sfery polityczne w Galicyi.

Przedstawiono tam przedewszystkiem historyę języka rusińskiego w Galicyi. Do r. 1848 wykładowym we wszystkich średnich i wyższych zakładach był język niemiecki; tylko od 1786 od 1809 prowadzono na wydziale filozoficznym i teologicznym uniwersytetu lwowskiego także lekcye rusińskie (a oprócz tego od r. 1816 i w szkołach ludowych Galicyi wschodniej, które jednak istniały po największej części tylko na papierze). W r. 1848 rząd centralny rozkazał zaprowadzić język rusiński jako wykładowy we wszystkich gimnazyach Galicyi wschodniej, co uskuteczniono tylko w nieznacznej części z powodu bardzo małej liczby odpowiednich nauczycieli, zupełnego braku podręczników, a także niedostatecznej dojrzałości samego języka rusińskiego. Wkrótce też przywrócono niemiecki, z tem jednakże zastrzeżeniem, że ma on być zastąpiony ruskim, kiedy przeszkody wspomniane zostaną usunięte. Rusiński język został tylko przedmiotem obowiązkowym w gimnazyach wschodniej Galicyi dla wszystkich uczniów bez wyjątku.

Jednakże stało się inaczej. Już w r. 1856 uchylono ową obowiązkowość, pozostawiając uczniom do wyboru rusiński albo polski. Dopiero w r. 1864 zaczęto w niższych klasach gimnazyum akademickiego we Lwowie wykładać pojedyncze przedmioty także po rusińsku (obok niemczyzny), chociaż już w r. 1851 zaprowadzono klasy równoległe polskie, z których w r. 1858 wytworzyło się całe gimnazyum polskie.

W r. 1867 we wszystkich gimnazyach galicyjskich, z wyjątkiem dwu, zaprowadzono jako wykładowy język polski, pozostawiając rusińskiemu tylko cztery niższe klasy gimnazyum akademickiego (w r. 1874 rozszerzono go na całe gimnazyum). Oprócz tego, język polski został przedmiotem bezwzględnie obowiązkowym dla wszystkich uczniów, rusinom zaś pozwolono tylko w godzinach pozaszkolnych uczyć się mowy własnej jako przedmiotu.

Przeciw możliwym zmianom na korzyść rusinów zabezpieczyła polaków ustawa krajowa z 1867 r., na mocy której (jedyny wypadek na całą Austryę!) tylko sejmowi służy prawo decydowania o języku wykładowym. Nadto, ażeby można było zaprowadzić chociażby jedną klasę z językiem wykładowym rusińskim, potrzeba jeszcze zezwolenia odnośnej Rady powiatowej. Ponieważ zaś sama ustawa wyborcza daje i tu i tam polakom większość, przeto rusini nie mogli w tym względzie nic uzyskać, tem bardziej, że rząd centralny do niedawna im nie sprzyjał.

Taki jednak stan, trwający dotychczas, stoi w sprzeczności z prawami historycznemi Galicyi wschodniej i ze statystyką, gdyż nawet według spisu z r. 1880 liczba rusinów wynosi tam $2\frac{1}{2}$ miliona, podczas gdy liczba polaków (tj. polskich kolonistów, spolszczonych rusinów, niemców i żydów) wynosi tu tylko 1 milion, z czego, po odtrąceniu 200,000 żydów, ktorzy używają tylko swej gwary—na polaków przypada 800,000. Tymczasem dla tych ostatnich w Galicyi wschodniej istnieje aż 14 gimnazyów, zaś dla $2\frac{1}{2}$ mil. rusinów tylko jedno. Jeżeli zaś weźmiemy na uwagę liczbę uczniów, to z końcem r. 1883 było między nimi 1,743 rusinów, 4,002 polaków, a właściwie, po odtrąceniu żydów, tylko 3,074 (polacy są pod tym względem w położeniu korzystniejszem, gdyż zamieszkują przeważnie większe miasta, a po wsiach są zamożnymi właścicielami większych posiadłości). A więc nawet według tego rusini powinni posiadać 5 gimnazyów, polacy zaś nie więcej, niż 10. (W całej Galicyi posiadają polacy dla 8,200 polskich i żydowskich uczniów 22 gimnazya, zaś dla 700 realistów 6 szkół realnych).

Niemniej sprzeciwia się to zasadniczym ustawom konstytucyi austryackiej, która § XIX zabezpiecza wszystkim ludom Austryi, a więc i rusinom, równouprawnienie języka narodowego w szkołach, urzędach i życiu publicznem.

Prośba opisuje następnie historyę języka ruskiego w sejmie, i tak dalej powiada: „Rusini galicyjscy, nie mogąc, chociażby w najskromniejszej mierze, uzyskać zaspokojenia swych potrzeb u reprezentacyi sejmu krajowego i w ten sposób załatwić naglącej dla nich sprawy w domu, udają się przez swoje polityczne towarzystwo „Narodna Rada“ we

---

cię trzyma. Daj mi usta twoje, niech z nich wypiję pierwszy toast naszej miłości. Słodki soku czystych serc ludzkich!..

(Szelesty traw ucichły, wietrzyki zatoczyły wolnym ruchem koła nad połączoną długim pocałunkiem parą, której twarze słońce oblało swym ostatnim blaskiem).

— Noc cię rozkradać zaczyna, niedługo już tylko zostanie mi twój głos i wonne ciepło ciała.

— Wdzięczna jej jestem, że oponą nakryła moją wstydliwość...

— Nie powiesz dniowi, że mnie kochasz?

— Nie jutrzejszemu. Jeszcze sama się z tem do jutra nie oswoję... będę unikała drzew i kwiatów, ażeby tajemnicy mojej nie zdradziły — w słońce śmiało nie spojrzę...

— Dziecko drogie, czemu?

— Do serc kobiecych miłość prawdziwa zawsze wchodzi z obliczem zasłoniętem. Mój drogi, po co ten księżyc wyszedł na niebo i tak ciekawie nas śledzi!

— Usłyszał moją skargę na ciemność i przybywa ze swą bladą lampą. Dobry włóczęga poświecił... Znów widzę włosy, które zazdrośnie czoło i szyję twoją zakryły przed moimi pocałunkami, oczy gorejące, usta w rozkosznem drżeniu, kibić ku mnie przegiętą, nawet stopki odnajduję w trawie... Świeć, zacny latarniku, odgarnij obłok, który cię goni... przysuń się do nas bliżej, bliżej... niech w mrokach nocy nie wątpię, że ta, którą ukochałem, jest postacią rzeczywistą, a nie złudnym cieniem. Drżę jak łodyżka suchego ziela w przeciągu wichrów, ażebym nie zbudził się nazajutrz z sercem, w którem miłość, jak igiełka magnesowa do północy, zwracać się będzie do mary niepochwytnej. Poświadcz przyjacielu i powierniku kochanków, że ona jest, stoi tu przy mnie, pierś swoją do mojej przycisnęła, rękami szyję mi oplotła, czułym uśmiechem koralowe usta zsunęła z perłowych ząbków, które ja całuję... Milczysz? Więc świeć przynajmniej...tak...dobrze... Przy twej latarni pokażę jej zebrany długą pracą majątek, który z sobą w zawiniątku noszę. Oto jest grosz, ofiarowany przez pewnego księcia z własnej szkatuły na zbudowanie akademii; a to skrzepła kropla potu bogacza, która mu wytrysła na nosie przy zapisywaniu się na listę składek dla pogorzelców; to talent wytwornie oszlifowany, którym szklarze przecinali szyby dla pałaców: to nerw zasuszony, który kurczył rękę handlarzowi, gdy ten sięgał po zysk nieprawy; to skrawek mózgu chłopa, który nie zazdrościł wildze skrzydeł i możności objadania cudzych owoców — i tak dalej; w osobnem obwinięciu zaś mam najcenniejszy klejnot: kryształ duszy dziecka nowonarodzonego... Księżyc odszedł znudzony, czy może inną parę kochanków dojrzał. Nie gardzisz luba moim majątkiem?

— Tyle zaledwie zebrałeś po świecie?

— Tyle, ale straciłem daleko więcej. Natura włożyła mi do kolebki garść darów, które ja, dorosłszy, kładłem potrosze w każdą wyciągniętą ku mnie rękę z nadzieją, że je pomnożone odbiorę. Niestety, wkrótce przekonałem się, że poczciwi ludzie, dostawszy ode mnie orzech, gryźli go, zjadali ziarnko i sprawiedliwie ciskali za mną łupiny. Zawiedziony, zubożały uciekam od nich w góry, ażeby wznieść się jak najwyżej i żyć najodludniej. W przechodzie spotkałem ciebie i zawisłem jak mucha na pajęczej siatce twego uroku.

— Potargasz te wątłe nici...

— Gdybym umarł w twoich objęciach, śmierć zabrałaby uśmiechniętego. Lepsze konanie w zachwytach, niż życie w odrazie i rozpaczy. Usiądź droga, pozwól mi upojonu szczęściem głowę oprzeć na twych kolanach, połóż mi na oczach swe dłonie... o tak, tak!.. ażeby ich sen nie zawarł i serca w gniazdo wężowe nie wrzucił. Pod strażą twoją jestem bezpieczny... Nie przypełzną tu gadziny wspomnień, nie zlecą się puszcze i nietoperze z pieczar życia... natomiast obstąpią mnie duchy dobre... ukołyszą śpiewem, okadzą woniami kwiatów i opaszą wstęgami tęcz wielobarwnych... Już są... słyszę je... widzę... Obraz rzeczywistości znika, w jej ramach rozpina się widok raju... zapominam, co czułem, pamiętam tylko, co czuję... Moja... moja... wiem już jedynie, że cię kocham...

(Wietrzyki zawisły nieruchomie w powietrzu i nie przerywały ciszy).

W. Okoński.

Lwowie... do Wysokiej reprezentacyi całego państwa austryackiego z pełną wiarą i nadzieją, że tam znajdą objektywniejsze ocenienie i sprawiedliwsze uwzględnienie swych potrzeb i praw, proszą, w myśl wniosku postawionego przez swych przedstawicieli w sejmie galicyjskim, a popartego przez rząd, niemniej i rezolucyi posła Kowalskiego w Radzie państwa z d. 2 kwietnia 1886 — o założenie gimnazyum rusińskiego w Przemyślu i rusińskich seminaryów nauczycielskich w Galicyi wschodniej."

Na poparcie tego ostatniego żądania petycya przytacza, że w całej Galicyi istnieje 6 męzkich, a 3 żeńskie seminarya, z nich 3 męzkie a 2 żeńskie są czysto polskiemi, 3 męzkie zaś i 1 żeńskie mają być podwójne, w rzeczywistości jednak są także polskie. Tymczasem według urzędowego sprawozdania z r. 1885, w całej Galicyi istnieje 1,376 szkół ludowych rusińskich (założonych nadzwyczajną ofiarnością ludu przy pomocy jego inteligencyi), 1,212 szkół polskich i 86 polsko-rusińskich.

Na możliwy zarzut o niekonstytucyjności obranej drogi, „Narodna Rada" powiada, że wprawdzie sejm galicyjski we wspomnianej ustawie z 22 czerwca 1867 r. art. VII zastrzegł sobie prawo decydowania o „zmianach co do języka wykładowego w szkołach średnich, utrzymywanych z funduszu publicznego wogóle, a mianowicie mających na celu stopniowe rozszerzenie wykładów w języku rusińskim przez zaprowadzenie go stale, już to w pojedynczych klasach głównych lub pobocznych (paralelnych), już to z czasem w całych gimnazyach"; jednakże, pominąwszy już okoliczność, że cała ta ustawa sprzeciwia się prawom konstytucyjnym i państwowym: 1) zakładanie nowych gimnazyów należy bezsprzecznie do władzy wykonawczej, 2) decydowanie o języku wykładowym w gimnazyach ani w statucie krajowym nigdzie nie jest zastrzeżone sejmowi krajowemu, ani w ustawie o reprezentacyi państwa nie jest wyjęte z pod zakresu działania Rady państwa; 3) przytoczony powyżej art. VII ust. z r. 1867 mówi tylko o „zmianach" co do języka wykładowego w gimnazyach, a zatem tylko o wprowadzeniu rusińskiego w miejsce polskiego lub niemieckiego, lecz nie zastrzega sejmowi prawa decydowania o języku wykładowym w gimnazyach, mających dopiero co założyć się, gdzie więc o żadnej „zmianie" mowy być nie może.

Oto treść wspomnianej prośby, którą w setkach drukowanych egzemplarzy rozesłano na prowincyę dla zbierania podpisów i dostawienia ich w swoim czasie Radzie państwa. *Hucuł.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rocznicę 90 urodzin ces. Wilhelma święcili niemcy bardzo uroczyście. I nie dziwnego. Obok głęboko zakorzenionej w nich lojalności, o której zdaleka patrząc, wytworzyć sobie można zaledwie pojęcie niedokładne, mają oni słuszne powody czuć dla swego monarchy wielką wdzięczność. Śmiesznym bezwątpienia i niedorzecznym jest wykrzyk *Nat. Ztg*, że Wilhelm I stanie w historyi nowszych czasów obok Napoleona I, gdyż władca francuski sam stworzył potęgę własną i państwa swojego, a niemiecki ją otrzymał od swych pomocników; mimo to ponieważ wszystkie tryumfy i dzieła, z których wyszła obecna potęga Niemiec, pokryte i odznaczone zostały jego imieniem, jego więc szczęśliwe berło jest przedmiotem szczególnej czci. Ogół nie może sobie co chwila uprzytomniać kolei wypadków i ich sprawców, on tylko pamięta, że za panowania Wilhelma I Germania zjednoczyła się i wzrosła w niebywałą potęgę.

Uroczystość monarsza przybrała też wielkie rozmiary i przeszła jako obchód bardzo wystawny. Niezawodnie w świetności i skali posunięto by ją jeszcze dalej, gdyby wiek, a nadewszystko zdrowie bohatera nie nakazało koniecznych ograniczeń. Cesarz mógł zaledwie przyjmować książąt i dostojników najwyższych, pozostawiając narodowi tylko swój niemy obraz. Tłumne zebrania, uczty, pochody itp. musiały zrzec się nawet najkrótszej jego obecności, gdyż na żaden wysiłek już mu lekarze nie pozwalają.

W Berlinie kują się nie wszystkie losy świata, nastrój wszakże tego ogniska zawsze oddziaływa na bieg spraw europejskich. To też jak gdyby na chwilę zatrzymały się koła młynów politycznych, w których mielono jedynie wątłe ziarna i plewy. Nawet Bułgarya, oprócz zaciągania wart, mających zapobiedz nowym buntom, nie przygotowała żadnej niespodzianki. Austrya utonęła w gospodarstwie wewnętrznem, Włochy skleiły swoje ministeryum i uspokoiły wzburzony lud lepszą wiadomością z Afryki, Francya znowu próbowała okiełznać swego Bucefała — Boulangera, którego nikt dosiąść nie może, Anglia wróciła do *businesu* — słowem rozpostarła się w Europie taka cisza, że aż w niej zagrzmiał głos ks. Majnukego.

Kim jest ów dobrodziej — czytelnicy dzisiejsi nieobowiązani wiedzieć. Był niegdyś redaktorem *Germanii*, posłem sejmu i zapalczywym zapaśnikiem stronnictwa centrum. Otóż teraz wystąpił on bardzo gwałtownie przeciwko swym dawnym wodzom i towarzyszom za nieposłuszeństwo papieżowi w głosowaniu nad siedmioleciem. Majunke dowodzi, że centrum powstało i ma racyę bytu jedynie jako partya religijna, a więc bezwarunkowo podległa papieżowi. Nic dla niej swoboda przekonań politycznych, zwłaszcza taka, która się sprzeciwia wyraźnej woli ojca św. Bzdurnie, bo bzdurnie powiedziano, ale szczerze i pouczająco. Z tego przykładu jeszcze raz wypływa wniosek, jaką to niebezpieczną grą jest opieranie działań politycznych na opoce Piotrowej. Przechyli się ona bowiem w przeciwną stronę — i całe rusztowanie musi runąć. Szczególnie gdy na stolicy apostolskiej zasiadł człowiek ambitny, dyplomata, dbający raczej o swoje osobiste interesy, niż o dobro kościoła, poświęcający chłodno miliony wiernych dla swej wygody i rachuby — wszelkie wprzęganie się w jarzmo jego inwentarza jest ryzykiem bardzo niebezpiecznem. Na Leona XIII należy tak patrzeć, jak na dyplomatów świeckich a mniej mu ufać — bo nieszczery, słodki, układny i o swej życzliwości wiecznie zapewniający. Kiedy mocno przyciska do serca, trzeba się strzedz, ażeby nie udusił.

Pobłogosławiona przez niego tortura w Poznańskiem nie odpoczywa. Obrady nad nowym rozdziałem powiatów trwają u góry, a jednocześnie na dole pracują małe kleszcze. Niedawno kilku ojców polskich podało skargę do ministerium na władzę szkolną, która ich dzieci gwałtem zaliczyła do narodowości niemieckiej. Sam protest w kraju cywilizowanym powinien być wystarczającym — tu oddano sprawę... komisyi edukacyjnej, która dostrzegła nadużycie, bo zażądała dowodów. Przesłano jej... kajety niemieckie dzieci. Prosimy zważyć: w szkole każą dzieciom pisać po niemiecku, potem biorą ich kajety i składają w ministerium na świadectwo, że to są niemcy. To robi państwo silne, ludzie poważni, ukształceni, moralni. W głowie mieszają się pojęcia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

JUBILEUSZ CZYTELNI AKADEMICKIEJ.

Kraków, 18 marca.

W lutym r. b. minęło lat 20 od chwili, w której władza zatwierdziła statut towarzystwa pod nazwą „Czytelnia Akademicka w Krakowie." Dwudziestoletni swój jubileusz uświęciła Czytelnia w b. m. obchodem, a dwie jego chwile: uczta z profesorami w Zdrowiu i wieczór w sali Towarzystwa Ubezpieczeń dostarczyły przywódcom dzisiejszej młodzieży pola do wygłoszenia swych zasad. *Ex ungue leonem*— w przemówieniach tkwi kierunek większości.

Czytelnia, znacząca dwudziesty rok życia legalnego, o wiele starszą oddycha piersią. Już w roku 1859 kryły się w cieniu zarodki skupiania się młodzieży, a ślady tego życia, gorejącego siłą wewnętrzną, odbiły się na kartach powieści Elpidona. Całe dzieje Czytelni są żywym protestem przeciw głosom, które chcą w niej znaleźć miejsce rozrywki i nic więcej. Była i jest kuźnią myśli. Musi nią być zawsze, bo w tem jej znaczenie, siła i zaszczyt. Za swą przeszłość nie powstydzi się. Każdy ruch żywszy, który od lat dwudziestu poruszał ogółem myślącym, znalazł otwarte jej progi. Dawni członkowie pamiętają jeszcze, jakie burze wzniecał przyrodniczy kierunek rozwoju, jak oddziałała na młodzież głośna podówczas w całej Austryi sprawa Doelingera, a niedawne są czasy gorącego zajęcia się zagadnieniami ekonomiczno-społecznemi. O ile skąpe są tradycye czasów dawniejszych, o tyle żywo stoi w pamięci powszechnej okres dwuletni, rozpoczęty około roku 1883. Niezależność Czytelni, przeciwstawienie panującego w niej kierunku dążeniom stronnictwa wiodącego rej w kraju, doszły do szczytu. Wystąpienia publiczne dwóch po sobie następujących prezesów, wywołały całe powodzie skarg, gromy oburzenia. „Młodzież się klasycyzmu zrzekła" — zawołały Kalchasy galicyjskiej operetki. Ruch doprowadził do zamknięcia starej Czytelni i do otwarcia na jej gruzach nowej, która zrazu żyjąc tradycyami poprzedniczki, uległa w końcu przewadze reakcyi. Uledz musiała, bo siły dawne ustąpiły z uniwersytetu a na nowe tak długo działała opieka władz, aż zatarła do szczętu wspomnienia poprzedniego okresu. Ciekawe są dzieje tego przełomu. Kryje się w nich dużo niemoralnego pierwiastku, teroryzmu i środków nie zawsze godziwych. Ale nie tu miejsce na opisywanie tego łamania dążeń samodzielności młodzieńczej. Jednym ona tylko objawem zgubnej zasady, która doczeka się kiedyś sumarycznego sądu za skalanie hasła patryotyzmu, która zrównała go już nie z lojalnością dla korony, lecz z pojęciem policyjno-administracyjnej gorliwości. Ład przywrócony między młodzieżą trwa już dwa lata z niezamąconym spokojem.

W takim stanie zastał Czytelnię dwudziestoletni jubileusz. Przez usta akademików duch jej dzisiejszy przemówił. Prawił on o przeszłości i przyszłości. Posłuchajmy i rozważmy. Na uczcie odezwały się trzy głosy programowe, prezesa i dwóch członków. Prezes rzekł: „Matką Czytelni jest — wszechnica jagiellońska, są nią profesorowie, jako jej uosobienie, im przedewszystkiem oddajmy cześć, bo pewni być musimy, „pewni" powtarzam, że serca ich przychylnie dla nas biją. Gdybyśmy bowiem tylko na chwilę przypuścić mogli, że tak nie jest, powinniśmy przestać istnieć. Dziecko, którego matka się wyparła, jest nic warte. Matka może się gniewać i karcić je, ale jeśli go nie kocha, jest macochą lub dziecko jest potworem." Osądził więc przeszłość z dobrej ochoty, niezmuszany do przykrego sądu. Potworami są, według niego, poprzednicy z tych czasów Czytelni, kiedy nie mogła się cieszyć miłością profesorów, bo różniła się z nimi w zdaniu. Powiedział to ciężkie słowo nie profesor rozżalony w chwili nieporozumienia, ale prezes Czytelni na uczcie radosnego obchodu.

Członek pierwszy pił zdrowie ideałów młodzieńczych:

„Oda do młodości" to wierny obraz marzeń i dumy młodzieńczej. Mówi ona to słowa: „Wiemy, że na świecie dzieje się źle; że zamieszkują go ludzie „bez serc, bez du-

cha.“ Lecz w naszych piersiach za dużo zapału, a w sercach za wiele odwagi, a w głowie za mało doświadczenia, byśmy nie wykrzyknęli zuchwale: „Cóż z tego, że na świecie dzieje się źle, kiedy my jesteśmy dobrzy, szlachetni i pełni wiary, że szlachetność tę i w innych przelać potrafimy.“ „Obyśmy nigdy — zawołał — do grobowej deski nie odstąpili sztandaru, pod którym teraz walczymy. Miłość ojczyzny i wszystkiego, co uwielbienia warte... niech przyświeca nam zawsze w dalszej wędrówce.“ Przed czterema z górą laty mówił o tej samej Odzie do młodości „na Mickiewiczowskim“ wieczorze ówczesny prezes dr. Pawlikowski. Nie żalił się wówczas na ludzi bez serc i ducha, nie wspomniał o piersiowych zapałach i odwadze sercowej, ale wołał o siłę rzetelną do łamania przeszkód a nie o cudy zapału. Stanął on w sprzeczności z dosłownem brzmieniem Ody, a jednak o ileż praktyczniej wskazał drogę do owej Adamowej jutrzenki, niż to się udało na uczcie w Zdrowiu! „Miłość ojczyzny i wszystkiego, co uwielbienia warte,“ to tylko uczucie, ale nie czyn jeszcze, nie walka. Kto walczy, musi walczyć w sposób jakiś, a o tem nie wspomniał mówca ni słowem. Miłość jego jest więc faktem, ale walka frazesem.

Trzeci prawił o postępie, ważąc i licząc słowa dokładnie: „Dawniejsza młodzież — według niego—tworzyła stronnictwa, z których każde niosło inny ekonomiczny i społeczny program... aż rzucono na nie klątwę, potępiono za brak patryotyzmu, padło fatalne, *a kto wie* czy nie usprawiedliwione słowo—kosmopolityzm.“ „W końcu wróciliśmy znowu do prastarych, nigdy nie starzejących się ideałów miłości ojczyzny, tolerancyi i wiedzy — a do wytkniętej mety podążamy według z góry powziętego planu, trzeźwo, spokojnie, rozważnie...“

I ten więc ma ideały podobne zupełnie do ideałów poprzednika; tamten walczy o nic, ten postępuje trzeźwo, spokojnie, według powziętego z góry planu: on planu nie ma żadnego, bo odrzucił myśl poprzedników, ich program ekonomiczno-społeczny, a nie postawił nowego — on ma tylko ideały. Tamci plan mieli, a juści ideały także mieć musieli, te same, do których on niby powrócił, bo to ideały prastare, nieśmiertelne pośród młodzieży. Oderwany od planu ideał, od planu, który go ma w czyn zmienić, to martwy kościotrup, z ciała odarty. Takim to szkieletem potrząsł mówca, i to trzeszczenie suchych stawów nazywa postępem. Ostatnie jego słowa: nie chcemy za kraj umrzeć, ale dla niego żyć, są odgrzewaną parafrazą słów d-ra Jendla, prezesa Czytelni, z głośnego przemówienia roku 1883. Wreszcie i ten mówca nielitościwie rozgrzebał smutną sprawę zarzutu kosmopolityzmu, jakim w twarz rzucono dawniejszej Czytelni bez cienia słuszności, sprawę, którą wówczas autor odczytu przypłacił osobistą wolnością. O, prastare ideały tolerancyi! Jeszcze jedną chwilę podnieść należy— wstęp z mowy prezesa Czytelni podczas wieczoru w Towarzystwie Ubezpieczeń: „Politykowanie wygnaliśmy z naszego grona, reformować niczego i nikogo nie chcemy. Nad sobą tylko pracujemy i to w podwójnym kierunku. Dla siebie zdobywając uczciwy kawałek chleba, dla drugich kształtąc się na dobrych obywateli.“ Zaprawdę, szczery prezes, otwarty; lepsze to wyznanie prosto z mostu, niż sztuczne naciąganie ideałów. Tylko że nie było się z czem popisywać, bo chleba szuka każdy, kto majątku nie odziedziczył, lub go nie dostał w posagu, a dobrym obywatelem każdy być musi, kto nie chce wejść w kolizye z ustawą, która dla złych obywateli a nie dla dobrych jest spisaną. Oto przegląd wyznań młodzieży. Po dwudziestu latach istnienia dojrzała Czytelnia i wypowiedziała swe ostatnie słowo w sferze ideałów i w sferze praktyki. Praktyka dąży do chleba, ideały do głoszenia patryotyzmu „*echt* galicyjskiego“ z zastrzeżeniem drogi trzeźwej, spokojnej, rozważnej. Zastrzeżenie zbyteczne. Ci, którzy głoszą patryotyzm młodemi usty, w dobrej wierze, nie wiedzą snadź, czem się to słowo u nas stało. Nie ma niewinniejszego wyrazu w słowniku galicyjskim politycznym, jak *patryotyzm*. Tańszy on i mniej obowiązujący, niż „sto lat zdrowia“ wywołane kichnięciem. Słowo wytarło się jak liczman i krąży bez wartości dla codziennego użytku mów pogrzebowych, imienin, chrzcin, jubileuszów i artykułów wstępnych. W ostatnich latach geniusze nasze lojalne znalazły dla niego nowe zajęcie, robiąc go klapą bezpieczeństwa dla gorących umysłów przeciw zarazie postępu, zwłaszcza na polu nauk ekonomiczno-społecznych. W ten sposób tłomaczy się niezrozumiały pozornie fakt, dlaczego zwolennicy rządu moralnego i Teki Stańczyka, najlojalniejsi pod słońcem ludzie, pracują gorliwie nad rozbudzeniem patryotycznych wynurzeń wśród młodzieży, przeciwstawiając je starannie prądom nowatorskim, nadzwyczaj niby zgubnym dla patryotyzmu. I udało im się. Podczas jubileuszu klapa działała z najlepszym skutkiem. Ci młodsi patryoci nie zakłócą spokoju publicznego, nie sięgną tam, gdzie wzrok nie sięga. Bo oni znajdą kawałek chleba i zgodne pozycye z ustawą państwa. Dawniejsza młodzież nie dawała się brać na sztuczkę; im więcej podsuwano swobodę patryotycznej wrzawy, tem głębiej wielkie słowo w sercu grzebali, tem mniej go mieli na ustach. *Nowa reforma* poświęciła dzisiejszej Czytelni serdeczny artykuł, w którym domaga się więcej zapału, jaśniejszych pragnień i szerszego widnokręgu. Zawczas jeszcze na to, bo dzisiejszy stan jest owocem roboty dobrze obmyślanej, wypływem reakcyi przez lat kilka z góry wywartej. O mowach jubileuszowych można powtórzyć z Faustem: *Ich finde nicht die Spur von einem Geist — und Alles ist Dressur*. To nie duch, to dresura. Tem lepiej. Za lada podmuchem sztuczne wpływy opadną, jak zwiędłe liście z drzewa, a duch młodości szczery, niekłamany, ożywi znowu krakowską Czytelnię.

W. P.

LISTY ZE WSI *).

I. Dwa obozy.

Czy szpalty Twego dziennika, Panie Redaktorze, nie spojrzą z pewnem zadziwieniem na szereg głosek, stawianych ręką zacofańca parafialnego; czy nie zapytają, skąd w łamach *Prawdy* odzywa się głos, wychodzący z obozu tak wrogo usposobionego przeciwko zasadom, które Pan wyznajesz i obalającego cały gmach wierzeń i haseł, jakie Pan kładziesz pod fundamenty budowy społecznej?

Jakakolwiek będzie odpowiedź na te pytania, z mego punktu widzenia sądzę, że ostatecznie nie sprowadzi ona rewolucyi w małym naszym światku, lecz przeciwnie może wywołać jaśniejszą linię graniczną między zasadami, które *powinno wyznawać* z jednej strony — stronnictwo konserwatywne, z drugiej — postępowe.

Podkreślone przezemnie słowa dlatego z takim naciskiem zaznaczam, że, bezwzględnie rzeczy biorąc, żadne z tych stronnictw nie ujęło swych zasad w ramy odpowiednie obecnemu położeniu kraju. Zapatrując się ze stanowiska ogólno-ludzkich poglądów, jestoście panowie o wiele bliżsi prawdy, niż żywioł konserwatywny, lecz ze stanowiska warunków miejscowych błądzimy zarówno wszyscy, przyczyniając się obustronnie do wywołania powszechnego rozdźwięku, ku największej szkodzie interesów krajowych. Gdybym wreszcie, wnikając w najtajniejsze skrytki położenia, chciał zbadać, kto winniejszy zamieszania, panującego na naszym widnokręgu społecznym, sprawiedliwość kazałaby mi więcej czarnych krzyżów postawić przy ospałem i bezprogramowem kołysaniu się stronnictwa zachowawczego, aniżeli przy sprężystej, częstokroć zbyt krewkiej i zbyt wysuniętej, lecz przynajmniej w jasne formy ujętej — działalności postępowców.

Widzisz więc, Panie Redaktorze, że jak prawdziwy „galantuomo,“ pierwszeństwo oddaję sztandarowi, który Pan w ręku dzierżysz. Proszę jednak nie uważać tego za następstwo regulaminu salonowego, w jakim mnie chowano, lecz za wypływ słusznej oceny kierunków i działalności stronnictw. Gdybym bowiem widział w „młodych“ tę samą sumę wad, któremi „starzy“ grzeszą, na pewno uprzejmość moja nie byłaby tak słodką.

Co więcej, posunę się o krok jeszcze dalej na drodze uznania dla przeciwników, utrzymując, że myślą i działają, podczas gdy konserwatyści, prócz negacyi — częstokroć dość jałowej — na nic innego zdobyć się nie zdołali. Jest to — niestety! — zarzut bardzo ciężki, ale go, bądź co bądź, raz przecie wykrztusić z siebie powinniśmy.

Według znanego określenia, stronnictwo postępowe uważane jest za pioniera cywilizacyi, konserwatywne zaś—za regulatora i hamulec zbyt posuniętych porywów. Pierwsze biegnie, drugie idzie za niem krokiem wolnym i spokojnym, lecz stać w miejscu nie może. W tym pięknym pochodzie cywilizacyi każdy ma drogę wytkniętą, a z zobopólnej pracy wytwarza się harmonia społeczna i wzajemny szacunek.

U nas nic podobnego nie widzimy.

Z jednej strony słyszymy tylko hałaśliwy wrzask: „hajże na Soplicę!“ z drugiej— jeszcze hałaśliwsze protesty, głośne zaś nie powagą rozumnej odpowiedzi, lecz jakimś nerwowym krzykiem ludzi, nierozumiejących o co chodzi i przeczących „dla zasady.“

Kto tu winien, a raczej kto wpływa na tak bezmyślną i do niczego nieprowadzącą odporność konserwatyzmu?

Winowajcę łatwo nam nawet pacholę szlacheckie wskaże, bo jeśli w kraju naszym jedynem polem ścierania się poglądów jest prasa, złe, jakie w organizmie społecznym widnieje, przedewszystkiem z winy tej prasy wypływa. To też nie jest to moje osobiste przekonanie, lecz głos prawie ogólny, że posłannictwo, jakie ciąży na prasie konserwatywnej, spełnia ona w sposób najopłakańszy i wprost przeciwny zadaniu.

I w jednym tylko chyba punkcie stałą i konsekwentną nazwać ją można, a mianowicie w systematycznej negacyi wszystkiego, co wychodzi od postępowców.

Od dwudziestu pięciu lat trwa ten protest bezustanny i do dziś nie zdarzyło się chyba nikomu spotkać z głosem konserwatysty, przyznającego choć cząsteczkę zasługi postępowcom, którzy jej, bądź co bądź, niemało krajowi przynieśli.

Od dwudziestu pięciu lat szablonowe zarzuty w niczem się nie zmieniły i jak w roku 1865, tak i dziś odpór objawia się w tych samych oklepanych i podszarzanych komunałach.

Następstwa tej szermierki, walczącej słowami a nie głową, najfatalniej oddziałały na organizm społeczny.

Nie możemy dziś powiedzieć, że w kraju naszym są stronnictwa walczące o zasady, lecz tłumy zapaśników z nienawiścią na siebie spoglądające.

---

*) W listach tych znajdziemy niejeden punkt, na którym poglądy nasze rozchodzą się. Zamieszczamy wszakże ten głos, jako zawierający wiele twierdzeń słusznych a ze strony zachowawczej rzadko słyszanych. Uwagi nasze wypowiemy po zamknięciu „listów.“ *Red.*

Konserwatyści widzą w postępowcach *tylko* nieprzyjaciół inteligencyi wiejskiej, „młodzi“ zaś uważają „starych“ za nieprzejednanych przeciwników wszystkiego, co postęp, cywilizacya, idee humanitarne wreszcie jako szczyt doskonałości ludzkiej stawiają.

Między tak przeciwległemi przekonaniami nie stanie most zgody, tak nam dzisiaj konieczny— dopóki gruntowna reforma nie zreorganizuje prasy konserwatywnej, która bez najmniejszego programu, jedynie jeżdżąc na koniku schylającym kolano przed słabostkami stronnictwa, do tego stopnia obałamuciła opinię, iż ta nie wie, do czego ma dążyć, czego pragnąć lub lękać się należy.

I nietylko to jest jej ciężką winą. Rzuciwszy ziarno nienawiści pomiędzy żywioły, prasa konserwatywna tak omotać zdołała ludzi, w imieniu których przemawia, że ci nie mogą się ośmielić na wyjawienie rzeczywistych swych przekonań, brak im siły i odwagi do wygłoszenia poglądów, niejednokrotnie przeciwnych zasadom, rzucanym w oczy tłumowi przez niepowołanych prewodyrów. Pewnego rodzaju strach, czy wstyd fałszywy, każe milczeć ustom, podczas gdy myśl i serce wyrywają się na szersze widnokręgi, a najgłębsze przekonania i pragnienia bardzo mało różnią się od zasad, przez stronnictwo postępowe głoszonych.

Widzę, jak ta ostatnia uwaga moja ściągnie burzę złorzeczeń zachowawczych, mimo to obstaję przy niej silnie i opierając się na rzeczywistej znajomości stosunków i ludzi, pogląd mój udowodnię.

Dziś postawię tu tylko taką uwagę:

Zarówno konserwatyści jak i postępowcy posiadają grunt wspólny, na którym się opiera ich działalność, a jest nim niezaprzeczona i gorąca *miłość kraju*. Jak tylko punkt ten wyjścia zarówno przez oba szeregi uważany jest za podstawę, z której wysnuwa się działalność społeczna, już niema pomiędzy nimi przepaści, lecz tylko mniej lub więcej ciężka droga, którą wspólnie przebyć mogą, nie obryzgując się błotem.

Tymczasem o tym wspaniałym i silnym łączniku ducha i myśli narodu nic się w naszych walkach stronniczych nie mówi, a zarówno postępowcy jak i konserwatyści nie uważają swych przeciwników za obywateli do wspólnego celu odmienną drogą kroczących, lecz za najzawziętszych nieprzyjaciół dobra powszechnego, których nie już usunąć, lecz poprostu wywieszać należy.

Tak więc społeczność ta, której każdy członek kocha kraj, czuje jego nędzę i potrzeby i o ratunku myśli — skutkiem fałszywego i podstępnego przeinaczania zasadniczych kierunków, jakimi rządzą się stronnictwa, doszła do zupełnego rozbicia, wytworzyła w swem łonie zawziętych wrogów, zatraciła miłość i szacunek ludzi między sobą i szczególniej w ostatnich czasach nie walczy już siłą rozumnej argumentacyi, lecz potwarzą i podłością.

Smutny to bilans rachunku krajowego, w którym *saldo* na stratę takiemi rozpoczliwemi zapisane cyframi.

I znów zapytam: kto winniejszy?

Liczebnie biorąc, stronnictwo konserwatywne, do którego należy inteligencya wiejska, zajmuje stanowisko silniejsze. Z samej natury zresztą swych przekonań rządzić się ono powinno większym spokojem zapatrywań, wyrobieniem parlamentarnem i umiarkowanemi ustępstwami. Nie nauczono się jednak niczego i niczego nie zapomniano... Prasa zachowawcza od samego początku wybitniejszego zarysowania się u nas zasad liberalnych, rzuciwszy klątwę na wszystko, co od postępowców wychodzi — na złe i dobre — podsycała niechęć, dziś przetworzoną w nienawiść i zdołała do tego stopnia wywierać nacisk, że jej zwolennicy nietylko nie czytają żadnego z organów postępowych, lecz zdaje mi się, iż nawet dotknięcie ręką pisma liberalnego wywołałoby druzgocący wpływ tak na nich, jak na wszystko, co ich otacza.

Czy może tu zatem być mowa o rozumnej ocenie zasad przeciwnika? Czy może być pojęcie o tem, czego on chce i do czego dąży?

Oburzającą jest rzeczywiście taktyka, przyjęta przez prasę konserwatywną. Obrzuciwszy przeciwnika błotem, odsądziwszy go od czci i wiary, podsycając nieufność i zawiść stronniczą, z drugiej strony — broniąc niby interesów „większej własności,“ uśpiła jej myśl, spowiła w pieluchy niemowlęctwa działalność, a wynosząc pod niebiosa za jej pracę i stanowisko, ani jednem słowem nie zaczepi wad, które istnieją i naprawy gwałtownej się domagają. Nic zatem dziwnego, że apatya ogarnęła tę część naszego społeczeństwa, która najczynniejszą być powinna i od której najwięcej się wymaga.

Kto wie, jak długo trwałby stan podobny, gdyby zdrowy zmysł narodu, będący najpewniejszą busolą wśród walk i burz życia, powoli nie zaczął się rozbudzać.

Chwila ta właśnie teraz nadeszła.

Od roku przeszło słyszymy skargi naszych wydawców i redaktorów, użalających się na upadek prenumeraty, na brak poparcia ze strony czytelników wiejskich, stanowiących główny zastęp przedstawicieli. Pocieszają się ci panowie uwagą, że ciężkie czasy i zastój wywołały ten objaw, a upadek ilościowy czytelników spowodowała... Ameryka! Słodkie złudzenie!.. Dziś, gdy przeczytanie dziennika stało się rzeczą równie konieczną, jak codzienny obiad, niema ani jednego z pomiędzy przedstawicieli inteligencyi wiejskiej, któryby nie chciał mieć w swym domu pisma, stanowiącego łącznik między nim a światem. Ale ta strawa, podawana przez nasze dzienniki polityczne, ta jałowość treści i ciągłe wymyślanie, jakiemi przepełnione są ich szpalty, wywołać musiały niesmak, znudzenie i lekceważenie organów, w których czytelnik chciałby widzieć rozum stanu, uczciwość tendencyi, miłość dobra publicznego i bezstronność sądu. Skoro w nich tego nie znajduje, nic dziw, że je porzuca.

Stan ten jednak trwać długo nie może i reforma naszej prasy należy do najważniejszych zadań chwili. Kto ją przeprowadzi — nie wiadomo: lecz zanim pożądany ten zwrot nastąpi, trzeba, byśmy się lepiej poznali, zrozumieli i spostrzegli, że różnica środków obranych dla dojścia do celu może być znaczną, ale podstawowe zasady zbyt są jednolite, by na nich nie można stawiać fundamentu harmonii społecznej.

W takiej zatem chwili poznanie się wzajemne jest rzeczą pożądaną, a o ile doświadczenie i znajomość ludzi dały mi pewną możność oryentowania się w położeniu, postaram się w łamach *Prawdy* przedstawić, czem jest wieś nasza obecnie i co ona krajowi przynieść może.

Gozdawa.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PROJEKTOWANA
Ustawa rzemieślnicza.

Są na świecie płody poronione; do takich musimy zaliczyć wypracowany przez sekcyę IV warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu projekt ustawy rzemieślniczej. Twórcy jego obiecują sobie zeń wielkie korzyści społeczne i powołują się na czynione obecnie w tym względzie próby za granicą, ale zapomnieli rozejrzeć się dokładnie w bodźcach, które powodują Austryę i Niemcy do zaprowadzania reform stosownych.

Projekt domaga się zorganizowania przymusowego cechów. Nikt nie ma prawa zajmować się rzemiosłem i wykupywać patentu na prowadzenie go, kto nie złoży odpowiedniego egzaminu w zgromadzeniu cechowem; ażeby uczeń został czeladnikiem, winien przebyć w terminie co najmniej dwa lata lub okazać świadectwo ukończenia szkoły fachowej; czeladnik również musi terminować i następnie dowieść swej znajomości rzemiosła. Ażeby zostać majstrem, trzeba być miejscowym poddanym. Wszyscy oddani pracy rzemieślniczej, bez różnicy płci i wyznania, należą z obowiązku do zgromadzeń, które dzielą się na warszawskie i powiatowe. Ażeby rzemieślnik prowincyonalny mógł założyć warsztat w Warszawie, winien wykazać dodatkowe uzdolnienie zawodowe. Zgromadzenia o małej ilości członków winny się łączyć ze zgromadzeniami rzemiosł pokrewnych, a wszystkie warszawskie oraz wszystkie powiatowe stanowić mają oddzielne związki z zarządami wybranymi z pośród starszych każdego oddzielnego stowarzyszenia i ze wspólnemi kancelaryami. Przy zgromadzeniach mają istnieć wspólne kasy dla chorych i pomocy, po jednej w Warszawie i w każdym powiecie; wszyscy rzemieślnicy wnosić muszą przepisane składki, które w razie potrzeby ściągane będą drogą administracyjną. Tak w Warszawie, jak i w każdym powiecie powinien być sąd polubowny z majstrów i czeladników, obowiązujący w sprawach wewnętrznych cechu. Zakłady fabryczne nie mają obowiązku należenia do zgromadzeń rzemieślniczych. Czeladnicy tworzą również swe zgromadzenia.

Oto zawartość projektu, który przeczy stanowczo panującej obecnie zasadzie bezwzględnej swobody zarobkowania. W „Objaśnieniach,“ dodanych do niego, znajdujemy cały traktat ekonomiczny, broniący i zarazem tłomaczący postępowanie autorów ustawy. Przytoczono więc ustępy najradykalniejsze z Brentana, że wielki przemysł stworzył taki stan rzeczy, iż można się obawiać skarłowacenia i zwyrodnienia rodu ludzkiego, i zarzuty Fr. Langego, że „sama zasada równości przed prawem nie jest tyle skuteczną, by tylko od niej oczekiwać zbawienia,“ i R. Meyera, że „obecny ekonomiczny rozwój nazwać można pochłonięciem małych samodzielnych egzystencyj przez wielkie,“ i Schippla, że „wóz słoneczny, który miał roztoczyć przed nami dzień najwspanialszy, strzela obficie na wszystkie strony zniszczeniem.“ Czytelnik, obeznany z rozwojem teoryj ekonomiczno-społecznych, już w powołaniu się na wspomniane powyżej nazwiska dostrzeże pewien nieład; przytoczono bowiem zdania ludzi, którzy, lubo wszyscy wykazują wady obecnych stosunków ekonomicznych, nie wszyscy jednak żądają *na dzisiaj* ograniczania jakiegoś wolności zarobkowania, zwłaszcza za pomocą przymusu ze strony państwa. Gdy jedni (Meyer) krytykują tę swobodę, bo życzyliby sobie powstrzymania rozwoju wielkiego przemysłu z jego następstwami w dziedzinie dążeń społecznych i myśli krytycznej; inni chcą usunięcia nie wolności, lecz jej wpływów jednostronnych przez przeciwstawienie kapitałowi organizacyj robotniczych, opartych na swobodzie stowarzyszania (Gewerkvereiny niemieckie, powstałe na wzór angielskich Trade-Unionów pod przewodnictwem postępowców tamtejszych w rodzaju Brentana). Inni wreszcie (Schippel) w krytyce wolności obecnej widzą tylko środek uświadomienia społeczeństwu nowej organizacyi przemysłu, lecz zgoła nie żądają ograniczeń przymusowych zarobkowania. Wszystko w tych żądaniach obliczone jest zgodnie z temi lub owemi stronami życia i ma twardy grunt pod sobą. Tymczasem nasza ustawa chwyta się kilku różnych punktów wyjścia; jako twór eklektyzmu społecznego wisi w powietrzu, łudząc pozorami celowości, lecz w rzeczy samej stanowiąc płód poroniony. Celem jej najgłówniejszym — *„utrzymanie* zdrowego stanu rzemieślniczego“ (*Kur. war.* nr 42, art.

p. K. Prawnickiego). „Upadek rzemiosł i wzrost wielkiego przemysłu fabrycznego wytwarza położenie, w którem stykają się tylko ostateczności, nadmierne bogactwo i skrajna nędza — stają naprzeciwko siebie dwa nieprzyjacielskie obozy, dwa odrębne światy, pomiędzy którymi nie ma żadnego żywiołu pojednawczego. Gdzie istnieje stan trzeci, którego głównymi przedstawicielami są rzemieślnicy, tam i najniższe warstwy nie wpadają w rozpacz, bo wiedzą i czują, że przy pracy, uczciwości i oszczędności mogą się wznieść wyżej.“ Ani słowa — do tego samego dążą wszystkie projektowane lub wprowadzane ustawy rzemieślnicze w Niemczech i Austryi, z tą tylko różnicą, że co w Warszawie uważa się już za punkt ostateczny, tam uchodzi za pierwszy szczebel. Otóż w tych krajach oglądamy odłam tak zwanych „zachowawców społecznych,“ do których należy cytowany Rud. Meyer. Bronią rzemiosła nie w zamiarze polepszenia doli rzemieślnika, ale dla jego wpływów społecznych, jako tamy przeciw skutkom kulturnym i społecznym industryalizmu. Pojmuję dobrze, że wskrzeszenie cechów może ocalić rzemiosło jedynie przy spętaniu zupełnem ruchów *maszyny*. Jakoż przypuśćmy, że organizacya cechowa objęła wszystkie zawody, oparte na pracy rzemieślniczej, ale że nie skrępowano przemysłu wielkiego. Cóż wtedy? Tuż obok warsztatów szewckich powstaje fabryka obuwia, tj. zakład, który odosabnia w przestrzeni oddzielne czynności dokoła wytworu (krajanie podeszw, wyrób obcasów, szycie pokrycia górnego itd.) i oddaje innym rękom, a korzystając z zamiany złożonej roboty rzemieślniczej na proste i automatycznie powtarzające się operacye, zaprowadza stosowne maszyny. Nie jest to już marzenie, ale rzeczywistość, drgająca życiem w pobliskich Prusach, Czechach i Dolnej Austryi i wytwarzająca obuwie bez porównania taniej. Przedsiębiorstwo takie, oparte na wielkim kapitale, posiadające dziesiątki olbrzymich sklepów, kupujące materyał hurtownie z pierwszych rąk, stosujące do produkcyi całą potęgę społeczną zrzeszonej pracy i automatyczną — maszyny, dające na dłuższy kredyt niż rzemieślnik, wyrzuca z swej paszczy na rynek szewcki masę taniego, przytem mocnego i eleganckiego obuwia. Cóż przeciwko temu poradzą cechy? Czy zdołają zapewnić byt warstwy średniej? Nie — raczej przyspieszą ruinę, bo usuwając konkurencyę wzajemną pomiędzy rzemieślnikami i stwarzając poniekąd monopol zawodu, podnoszą cenę towaru rzemieślniczego. Reglamentacya cechowa nie powstrzyma upadku rzemiosła, jeśli maszyna z odpowiedniemi sobie ukształtowaniami przemysłowemi: fabryką i rękodzielnią nie zostanie okiełznaną. W naszym zakątku, gdzie na miejsce świadomej walki i starcia interesów występują jedynie spory klik i koteryjek instynktowo czujących swe stanowisko, można tego nie pojmować; ale społeczeństwo europejskie zbyt wiele doświadcza i zbyt pełnem oddycha życiem publicznem, ażeby brać się do takiego przelewania wody przez sito. Dąży się przeto nietylko do zorganizowania cechów, ale i do nałożenia ograniczeń na sam rozwój wielkiego przemysłu (cechy wielkich przędsiębiorców ze ścieśnieniem rozmiarów produkcyi, zwiększenie ciężarów z prowadzenia fabryki, zmniejszenie wolności przesiedlania się u najmitów, wyrugowanie fabryk z dziedzin, gdzie panuje rzemiosło itd.). Słychać nawet żądania zorganizowania całego społeczeństwa w cechy i stany na zasadzie zawodowości. Właśnie z pośród tego ruchu wychodzą Vogelsang i ks. Lichtenstein, którym powstanie swe zawdzięcza austryacka nowela rzemieślnicza, Hitze, Ackerman i inni szermierze odpowiedniej reformy w Niemczech. Są to ludzie wiedzący, czego chcą, którzy nie staną na pół drogi. Przeprowadzili ustawy cechowe, jako punkt pierwszy programu; pod sztandarem interesów cechowych wciągają rzemiosło (warstwę, być może, najbardziej zachowawczą) do walki politycznej, mającej jasno wyznaczoną drogę, i poparci tymi żywiołami, czynią dalsze kroki ku państwu stanowo-zawodowemu, opartemu na poszanowaniu wszechpowag: religijnych i społecznych (tegoroczna austryacka nowela robotnicza i opór najmitów przeciwko niej z tego powodu). Czy twórcy naszej ustawy rzemieślniczej myślą im towarzyszyć? Nie! Utrzymanie wielkiego przemysłu leży nowej ustawie projektowanej bardzo na sercu; zapomniała nawet określić, gdzie kończy się rzemiosło, a zaczyna fabryka (punkt, z powodu którego znamy w Niemczech kilka broszur, np. Albertusa). Chodzi jej tylko o to, by wielki przemysł nie pożarł drobnego. Tymczasem, jakeśmy widzieli, bez spętania maszyny niepodobna o tem myśleć. Znajdujemy się wobec eklektyzmu, który buduje bez względu na usuwający się grunt pod nogami i co najwyżej opóźnia jedynie chwilę, kiedy przemysł wielki połknie rzemiosło, jakkolwiek p. Kirszrot nas zapewnia, „że bądź co bądź maszyna, choćby najgenialniej pomyślana, jest dziełem ludzkiem, człowiek zaś jest dziełem Boga.“

Z tego powodu uważamy projekt za chybiony; na pozór bowiem zapewnia byt rzemiosłu, w rzeczywistości jednak przesuwa tylko chwilę jego zmiażdżenia — chybia przeto zamierzonego celu. Zresztą wobec braku ograniczeń co do rozmiarów warsztatu, któż zabroni powstać w samym cechu zakładom większym, pożerającym drobniejsze? Upada więc jedna z korzyści obiecanych przez projekt.

Idźmy wszelakoż dalej. Bądź co bądź, cechy, mimo odżegnywania się projektodawców, stanowią maszyneryę, która ścieśnia konkurencyę pomiędzy wytwórcami i podnosi cenę wytworów — na szkodę spożywców. Zatrzymanie przymusowe minimum terminowania uczniowskiego (wyjątek dla kończących szkołę fachową) i czeladniczego, ograniczenie majstrowstwa do poddanych miejscowych, wpisowe 10—12 rublowe, wymaganie odpowiednich egzaminów dla majstra przenoszącego się do Warszawy — wszystko to utrudnia przedostanie się do najwyższego szczebla w hierarchii cechowej i wzmaga monopol wytworców względem masy spożywców. Mniemanie, że zapomocą tych środków usuwa się fuszerka w robocie, uważamy za omylne. Nie jest ona bowiem wynikiem braku egzaminów fachowych, ale — niezamożności społeczeństwa. Niech znajdą się środki kupna, znajdzie się i dobry towar; dopóki zaś bieda panuje, fuszerka mimo wszystko istnieć będzie, bo taka robota wypada taniej. Jakość wyrobu zależy w pierwszej linii od funduszów spożywcy.

Zresztą błąd jeden spoczywa w samej podstawie projektu. Przymus podniesiono do stopnia zasady, jakkolwiek pod przykrywką, że to zniewoli rzemieślnika do sumienniejszego wypełniania obowiązków i do stowarzyszania się. Iluzya! Przymus, tylko gdy idzie o rezultaty rzeczowe, coś daje, ale poczęcia pewnych stanów subjektywnych (np. sumienności pracy lub chęci stowarzyszenia) nigdy nie osiągnie się tą drogą. Daleko prędzej mogą to zapewnić t. z. „Fachvereine“ (związki rzemieślniczo-robotnicze, które rozstały się ze złudzeniem obrony rzemiosła i tylko chcą ocalić osoby od przejść zbyt ciężkich). Pewne grono rzemieślników łączy się w solidarne ciało ekonomiczne, odpowiadające za dobroć powierzonej swym członkom roboty; interes własny zmusza do sumienności. Czy projektowane cechy to uczynią?

Słowem, ustawę Towarzystwa, o ile chce utrzymać hierarchię warsztatową i ograniczenie wolności zarobkowania, uważamy za błędną; o ile znowu ma nadzieję zachowania przez to stanu średniego, za złudną.

A jednak nie możemy zaprzeczyć projektowi stron dobrych, pochodzących stąd, że opuścił grunt rzemiosła historycznego i wkroczył poniekąd na drogę, po której prą w swym rozwoju „syndykaty“ francuskie i „stowarzyszenia fachowe“ w Niemczech. Te ostatnie zmierzają ku następującemu: rzemiosło winno być wolnem, każdy samodzielny rzemieślnik wchodzi przymusowo do dowolnie wybranego stowarzyszenia wzajemnej pomocy; przy każdem zgromadzeniu znajduje się biuro, które zgłaszającym się kundmanom rekomenduje sumiennych rzemieślników, lub gotowe na składzie towary. Kto chce korzystać z polecenia, musi dowieść swych uzdolnień fachowych; rzemieślnicy, którzy tego nie uczynili, mogą korzystać z nastręczającej się im prywatnie pracy, lecz nie za pośrednictwem związku. Spożywcy mają zapewnioną sumienność i taniość wyrobu, wytwórcy — znajomość fachu i korzyść stowarzyszenia. Głównie jednak w podobny sposób organizują się niesamodzielni pracownicy — związek rekomenduje zdolnych i sumiennych robotników, prowadzi ich sprawy i broni od nadużyć prawodawców. Pożądają tu przymusu o tyle tylko, żeby każdy należał do stowarzyszenia dla zabezpieczenia się w razie starości, choroby itd.

W szczegóły paragrafów ustawy wdawać się nie będziemy; zauważymy tylko jeszcze, że przedmowa więcej obiecuje, niż dotrzymano. Zresztą usunięto wiele ciemnych stron dawnych cechów z 1816 r. Ustawa usiłuje okazać pomoc uczniom i czeladnikom wobec majstrów, co udaje się tylko do pewnego stopnia, zostawia np., lubo w ograniczonym zakresie, majstrowi prawo kary. Łudzi się jednak, że można zmienić rzeczywistość, skoro przeinaczy się nazwę rzeczy, np. że stosunek majstra do czeladnika polepszy się, skoro tego zwać będą „towarzyszem“!

Na zakończenie winniśmy dorzucić, że projekt wywołał już wiele krzyku z powodu równouprawnienia żydów. Jest to zresztą jedyny punkt ustawy, który zbudził jakąś utarczkę zduń. Furye naszego fanatyzmu zatrzęsły się na ten zamiar. 23 rzemieślników mławskich podało memoryał, w którym powiadają: „Wymieniony artykuł 146 ustawy, zalecający żydom święcenie soboty, mógłby być jako niepotrzebny usunięty, a natomiast zobowiązać należy chrześciańską młodzież rzemieślniczą do obsługiwania ołtarzy w dnie uroczyste, jak również do brania udziału w amatorskich chórach kościelnych.“ Czyż nie smutny objaw jednostronności fanatycznej?

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

TAINE O LITERATURZE FRANCUSKIEJ.

Paryż, 12 marca.

Taine jest jednym z tych pisarzów wyjątkowych, którzy nie goniąc nigdy za uznaniem, zdołali rzeczywistą zasługą zdobyć sobie sławę europejską. Niema człowieka, którby bardziej od niego unikał wszelkich występów publicznych. Zamknięty w swoim gabinecie, wyłącznie oddany nauce, zdaje się wcale nie stykać z otaczającym go światem. Znaczną część roku przepędza nie w Paryżu, lecz na zamku Boringe (w Sabaudyi), a chociaż jest profesorem estetyki w „Ecole des beaux arts,“ od dwóch lat wyręcza się w wykładach swoim pomocnikiem, którym jest znany krytyk francuski E. Muntre. Sposobem życia przypomina średniowiecznego mnicha, zatopionego wyłącznie w myśleniu oderwanem; nauka jest dla niego tem, czem dla zakonnika była religia — wypełnia mu wszystko. To też nie powinno nas dziwić, że w *Podróży po Włoszech*, opisując słynny klasztor benedyktynów — jeśli się nie mylę na Monte-Casi-

no — Taine wypowiada gorące życzenie, by na wzór duchownych powstały kiedyś zakony świeckie, gdzieby ludzie zniechęceni światem a szukający spokoju znaleźć mogli schronienie.

Nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć lub czytać o publicznej prelekcyi Taine'a. Nie lubi on widocznie tych „conférences," które tak chętnie i tak często uczeni jego koledzy wypowiadać zwykli. Na wykłady zaś jego w „Ecole des beaux arts" — o ile mi mówiono — kobietom wstęp był wzbroniony. Skromność jego, a kto wie może duma, dochodzi do takiego stopnia, że wzbronił sprzedaży swoich fotografij, i nawet w Paryżu niepodobna ich dostać. Nie uległ nawet prośbom Katschera, tłomacza dzieł jego na język niemiecki, gdy tenże chciał wizerunek jego przy stosownym artykule umieścić w jednem z pism niemieckich. Widocznie zdaniem Taine'a dzieła jego są własnością publiczności, której oddane zostały, osobistość zaś autora wyłącznie do niego należy.

Podobne zamknięcie się w sobie, połączone z wstrętem do rozgłosu i popularności, bardzo rzadko u francuzów napotkać można. Nie jest to zresztą jedyna cecha niefrancuska, którą się umysł Taine'a odznacza. Brak mu również owej lekkości i dowcipu, które zwykle stanowią przymiot, a czasem wadę jego rodaków. Sam on w swoich *Essais de critique* zaznacza, że dowcip, a raczej „esprit" przeważa nad wszystkiemi innemi właściwościami umysłu francuskiego. Dzieła atoli jego zdradzają powagę, mało licującą z owym lekkim „esprit." Taine przedstawia zupełną sprzeczność z przyjacielem swoim Renanem, który nie zasklepia się w badaniach, chętnie bywa w świecie i ma nawet poniekąd reputacyę człowieka światowego. Spotkać go można nieraz w towarzystwach, które tu z angielska nazywają „very select." Bawi zwykle damy, których jest ulubieńcem, rozmową o estetyce. Ale nigdy mu zbytnio ufać nie można; jak sam się raz przyznał, myśli on często wówczas zupełnie o czem innem, z rozmową nic wspólnego niemającem. Bo też Renan, jakby dla zupełnego przeciwieństwa z Taine'm, nie może ani na chwilę pozbyć się w tak wysokim stopniu właściwej mu ironii: nie opuszcza go ona i w „College de France"; nie przypominam też sobie, bym na jakichkolwiek wykładach tak się dobrze bawił, jak na prelekcyach Renana.

Ale zanadto odbiegłem od treści artykułu, któremu może zbyt szumny nadałem tytuł. Nie jest to bowiem żadne literackie studyum, ani nawet sprawozdanie, ale pobieżna wzmianka o liście Taine'a, który się zjawił w *Journal des Débats* *). Każde niemal zdanie Taine'a chciwie jest czytane i komentowane przez myślącą Europę. List, o którym mówię, tembardziej zasługuje na uwagę, iż zawierając zdanie znakomitego badacza o nowoczesnych pisarzach francuskich, stanowi ważny dokument literacki.

Wiedząc, że i u nas talent Taine'a ma gorących wielbicieli, śpieszę z przytoczeniem treści owego pisma.

„Nieprzyjemnie jest mówić o sobie; nie jest to moim zwyczajem, jednakże dziś wyjątkowo zmuszony jestem do tego." Takiemi charakterystycznemi słowami rozpoczyna swój list. Do napisania go spowodowała Taine'a następująca okoliczność. Niektóre dzienniki francuskie i angielskie, opierając się na zdaniu, wypowiedzianem jakoby przez niego w rozmowie prywatnej, pospieszyły z wiadomością, iż Taine wyżej stawia naukę i literaturę angielską i niemiecką nad francuską. Otóż zbija on tę pogłoskę z mylnego zrozumienia słów jego wysnutą i oświadcza, iż zdania podobnego nigdy nie wyrażał. Aby jednakże cudze poglądy, niesłusznie mu przypisywane, nie uchodziły za jego własne, oświadcza, co sam myśli o tym przedmiocie.

O nauce francuskiej nie pozwala sobie sądzić. Twierdzi, iż nie posiada należytej znajomości rzeczy. Gdyby go zapytano, gdzie nauka wyżej stoi: we Francyi, Niemczech czy Anglii, musiałby po odpowiedź udać się do swoich przyjaciół — J. Bertranda, Bertholeta, Pasteura, Gastona Paris.

Są jednak dziedziny, w których niepoprawny w swojej skromności autor czuje się mniej niekompetentnym — mianowicie: literatura i historya. Posłuchajmy, co mówi:

„Sądzę, iż poezya angielska — przedewszystkiem liryczna i opisowa—poczynając od Byrona, Keatsa i Shelleya, a kończąc na Tennysonie i dwóch Browningach, jest pierwszą w Europie. Zato Francya posiada największych żyjących dramaturgów — Angiera i Aleksandra Dumasa. W prozie francuzi, zdaje mi się, conajmniej dorównywają anglikom; uważam Balzaca za najpotężniejszego twórcę dusz ludzkich, który się zjawił od czasów Shakespeare'a; żaden krytyk w żadnej literaturze nie może być porównany z Sainte-Beuve'm. *La Chartreuse de Parme* uważam za największe arcydzieło psychologii literackiej, jakie kiedykolwiek w jakimkolwiek języku się ukazało. Pod względem stylu i przedstawienia, pod względem mocy i doskonałości kolorytu *Madame Bovary* niema powieści sobie równej. Pięciu pisarzy i myśliciel: Balzac, Stendhal, Sainte-Beuve, Guizot i Renan *) są, zdaniem mojem, ludźmi, którzy od czasów Montesquieu'go najwięcej przyczynili się do poznania natury ludzkiej i społeczeństwa ludzkiego. W chwili obecnej znajdujemy się na schyłku epoki literackiej; jednakże prócz trzech lub czterech romansopisarzów i poetów widzimy, że się zjawiło kilku pisarzów o niezwykłym talencie, między innymi historycy, jak Lavisse, Sorel, Thureau-Dangin. Niewątpliwie — kończy Taino — wydając sąd o sobie, należy przedewszystkiem na chwilę pozbyć się miłości własnego narodu; nie trzeba się przeceniać. Lecz z drugiej strony nie należy się nadto obniżać; sądzę, iż twierdzić można, że na wystawę powszechną literatur — Francya dostarczyła w przeciągu ostatnich lat sześćdziesięciu tyleż wielkich myśli i tyleż pięknych form, co najznakomitsi z jej współzawodników."

Oto odpowiedź Taine'a. Zawiera ona wiele trafnych spostrzeżeń. Przyznać także należy, że jest niemniej zręczną, jak trafną. Dlaczego np. nie wspomina wcale o filozofii, gdzieby chyba autorowi dzieła *Les philosophes français du XIX siècle* nikt znajomości rzeczy nie odmówił? Dlatego może, iż trudno nowoczesnych filozofów francuskich postawić obok niemieckich lub angielskich. Możnaby dalej zapytać: czemu napomknąwszy tylko zlekka o poezyi angielskiej, przemilczał zupełnie o literaturze niemieckiej?

W każdym razie spór o to, który z trzech narodów: francuzów, niemców, anglików, najwyżej stanął pod względem duchowym, jest jałowym, prawie niedorzecznym. Każdy z nich wniósł tyle skarbów do cywilizacyi europejskiej, że ona już bez nich obyć się nie może. Każdy z nich, postępując drogą wytkniętą przez geniusz własny, we właściwej sobie dziedzinie doszedł do doskonałości. Żaden z tych trzech narodów nie jest wyłącznym przedstawicielem kultury ludzkiej, wszystkie trzy razem wzięte składają cywilizacyę europejską w obecnym jej stanie.

J. Bekerman.

*) 5 marca r. b.

*) W tem i innych twierdzeniach tkwi dużo przesady. *Red.*

WYKŁADY PUBLICZNE.

(Na korzyść Osad rolnych).

I.

K. Zagórski: *Wzrok i sztuka plastyczna.*

Prelegent uprzystępnił słuchaczom szereg prawd naukowych w zakresie optyki, mianowicie zajął się określeniem stosunku między prawami wzrocznemi a wrażeniami wywoływanemi przez dzieła sztuki, zwłaszcza zaś malarstwo. Usiłował dowieść, że tak upragniona dla wielu wierność przedstawienia natury znajduje ograniczenie w środkach technicznych, jakich używa malarstwo. Zarówno perspektywa, jak i działanie barw w obu dziedzinach są odmienne. Właściwie zatem *kopiować* natury niepodobna.

Dr Z. z odpowiedniej strony wkroczył na pole sporów estetycznych, prowadzonych zwykle gołosłowiem. bez pomocy prawd naukowych, a przyznać trzeba, że w wielu punktach rozjaśnił przedmiot należycie. Nie ma nic okropniejszego nad wrzaskliwe kłótnie kogutów, dziobiących się i drapiących o wyrazy i rzeczywiście niezdolnych dojść do żadnego pozytywnego wyniku, gdyż brak im gruntu wiedzy ścisłej. Na tym gruncie namiętności szybko ochładzają się, bo obie strony mają sposób kontrolowania swych mniemań wywodami ścisłymi W prasie naszej epidemicznie wybuchają polemiki malarskie, które pozostawiają dużo guzów, kurzu, swędu, wrzawy, ale zagadek nie rozwiązują. Radzibyśmy, ażeby przyszli bojownicy przed walką poznali odczyt d-ra Zagórskiego.

II.

Adolf Julian Święcicki: *O teatrze hiszpańskim.*

W drugiej polowie XVI wieku Hiszpania stanowi dziwny wyjątek w Europie. Dramat znajduje się wszędzie w stanie albo zaczątkowym. lub też w zupełności trzyma się jeszcze utworów klasycznych. Tymczasem na półwyspie Pyrenejskim rozpływa się już prąd nowy. który zrywa ze ślepem naśladownictwem wzorów dawnych i z mysteryami średniowiecznemi, śmiało wkraczając na drogę nowoczesnej sztuki teatralnej. Juan de Emisa i inni zwiastują ten okres. Występuje postać Lopeza de Ruedo: z rzemiosła złotnik, zbiera on trupę, pisze utwory i jeździ po kraju, wszędzie witany z zapałem. Dotychczasowa poezya hiszpańska traktowała przeważnie albo chwile dziejowe, zwłaszcza epizody walki z maurami (ludowa), lub opiewała awantury i przygody szczególniej miłosne (rycerska), lub wreszcie zajmowała się przekładami z wzorów klasycznych. Teraz dołącza się dramat i wkrótce dzięki potężnemu talentowi Lopeza de Vegi, dosięga stanowiska, nieznanego podówczas pozostałej Europie. Ten poeta wyzwolił się już zupełnie z powijaków klasycyzmu, porzucił przestrzeganie w utworach jedności czasu i przestrzeni a pełną dłonią zaczerpnął treść z współczesnego sobie otoczenia narodowego. Twórczość jego zadziwiająca; napisał do 1.500 sztuk, z których prawie połowa dochowała się do chwili obecnej; stanowią one źródło niewyczerpane pomysłów dla dramatu francuskiego. Molier kradnie tu bezwstydnie. Intryga cała obraca się dokoła życia codziennego. Ale z upadkiem okresu kwitnącego Hiszpanii ulega zmianie i duch dramatu. Czasy Filipa III i IV zaczynają zwiastować wewnętrzne rozprzężenie kraju. Sztuka dramatyczna w ręku Moliny staje się miejscem satyry, kpi on z mężczyzn niedołężnych, z intrygujących kobiet. Upada jednakże ona, zwłaszcza od czasów Filipa IV, kiedy ten mecenas przez swą nieudolną pomoc przyciągnął na scenę i do pióra najwyuzdańsze męty społeczne. Wprawdzie Kalderon ratuje jeszcze dawną sławę, jest to przedewszystkiem mistrz w rysowaniu przejętych swem zadaniem bohaterów i wzniosłych uczuć. Cisza wszakże nastaje wkrótce po nim, w teatrze zapanowywa posucha, zwilżana wprowadzaniem francuzczyzny klasycznej. Trwa to do początku niniejszego stulecia. W r. 1800 zamknięto nawet scenę przed utworami takich mistrzów, jak de Vega i Kalderon. Cenzura religijna usiłuje przykrajać wszystko do swojej mody i oczywiście oca-

la tylko bezdarność i przesąd. Dopiero od roku 1830 pod idącym z zewnątrz wpływem romantyzmu poczyna się zwrot nowy — ku drogom narodowym. Znany powszechnie utwór Zorilli: *Don Juan* należy do tego okresu. Ale jak klasycyzm runął w bezdusznej atmosferze postaci i sytuacyi szablonowych, podobnież i romantyzm przywiódł do nowej krańcowości, w której też grób znalazł. Chorobliwość jakaś dziwna wyobraźni i pomysłów, doprowadzona do ostateczności — oto cecha ostatnich utworów tego kierunku. Nastają próby wyszukania dla teatru innych źródeł natchnienia. Teatromania ogarnia społeczeństwo hiszpańskie; pisarz, który umie trafić do smaku. może oczekiwać majątku. Rzucają się powołani i niepowołani, sztuka uprawia się dla zysków. Tymczasem wytwarza się szkoła nowa, przeprowadzająca w swych utworach ideę bezwzględnej moralności. Człowiek powinien postępować zgodnie ze swemi zasadami jedynie ze względu na ich wartość wewnętrzną, jakkolwiek stąd nietylko dlań. lecz i dla innych nie wynikłaby korzyść najmniejsza. W czasach ostatnich przedarł się naturalizm francuski.

Prelegent rozpatrywał rozwój teatru hiszpańskiego w zupełnem oderwaniu od wpływów zewnętrznych oraz życia społecznego i umysłowego Hiszpanii, gdyż kilka drobnych a nawiasowych wzmianek lub porównań niepodobna uważać za poważne nawiązanie zawisłości wzajemnej. Odczyt jeden i drugi posuwają się sucho; ogromny nawał imion, czy to autorów, czy też sztuk, przewaga wogóle żywiołu chronologicznego, a brak pierwiastków ogólniejszych — oto cechy znamienne wykładu.

III.

Rapacki: *Trzy doby sceny naszej.*

Trzy doby sceny naszej — to czasy reżyseryi Kudlicza, Jasińskiego i Chęcińskiego. Prelegent usiłował nawiązać ścisłą zależność pomiędzy każdym z tych okresów — czy to pod względem wymagań stawianych aktorowi lub jakości gry jego i polotu indywidualnośoi, czy wreszcie pod względem sposobu prowadzenia szkoły dramatycznej i reżyseryi — a duchem i istotą kierunku panującego naówczas w dramacie. Tak np. gra aktora i wymagania krytyki zupełnie zawisły od tego, czem jest sama sztuka: czy przedstawia walkę namiętności lub pozbawioną życia deklamacyę górnolotną, albo czy służy jedynie autorowi do wypowiedzenia przez usta aktora swych poglądów na stosunki społeczne. Za Kudlicza na naszej scenie panuje dramat klasyczny; nie zna on ani starcia istotnego charakterów i namiętności, ani logicznego i organicznego powiązania akcyi, lecz zasadza się przedewszystkiem na deklamacyi wytwornych wierszy i wysoko bujających frazesów. Odpowiednio do tego wyrabia się pojęcie o *dobrym* aktorze: jest to umiejętny i unoszący się deklamator, od którego nie żądają stworzenia jakiejś postaci, lecz silnego i doniosłego wypowiedzenia jej słow. Skąpość treści w sztuce, brak spójności charakterów, ubóstwo dekoracyi, wszystko to musiał zastąpić „dobry“ aktor; powinien był więc posiadać jeszcze i urodziwą postawę i silną budowę. W osobie Kudlicza nasza scena posiadała człowieka, który zbadał wszystkie tajniki i wymagania klasycyzmu — lecz tylko klasycyzmu; z upadkiem tego kierunku musiał usunąć się i jego kapłan. Ustępuje miejsca Jasińskiemu, który był miernotą pod każdym względem: lichy aktor, jeszcze lichszy reżyser i autor. Ale odznaczał się pracowitością i energią. Dramat francuski zapanowywa na naszej scenie, lecz Scribe jest prawie wyłącznym jego przedstawicielem. Jednostajność stereotypowa ruchów, postaw i gry zalewa nasz teatr. Jasiński jest formalistą, nie rozumie się na duchu, lecz uwzględnia jedynie formę, prześladuje wszelki odcień indywidualizmu, równoznaczny dla niego z bezrządem. Czy to nie odpowiada szablonowości dramatu Scribe'owskiego? Prelegent nie zastanawia się nad tem. Chęciński ma naturę zgoła różną; poeta i artysta w rzeczywistem znaczeniu słowa, nie ma ani systematyczności, ani wytrwałości, których wymaga prowadzenie teatru; błądzi często, lecz nagradza błędy rozwijaniem w sobie i w innych samodzielności aktorskiej.

Odczyt poruszał głównie osoby i umysły jednostkowe. Nić podstawowa wywodów, zasadzająca się na wykazaniu, że scena każdorazowo odzwierciedla jedynie ducha panującego u danych autorów, ciągle się zrywa i występuje w postaci niepowiązanej. P. R. oświadczył się za koniecznością przedwstępnej a systematycznej szkoły dla aktorów, wykazywał, jak niezbędną jest dla istnienia dobrych artystów, i rzucił pytanie, co to będzie, gdy zgasną ostatni przedstawiciele tych czasów, kiedy szkoła jeszcze istniała?

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozmyślania nadgrobne.

Po wielkich stratach oprzytomniawszy, liczymy przerażeni, co nam jeszcze na dalsze życie i pracę zostało. Badamy starannie, czy ocalona reszta i spodziewane nabytki podtrzymają nasz byt, czy poniesiona szkoda z dostatku w nędzę nie zepchnie. I dziś więc pytać trzeba: kto nam pozostał po śmierci Kraszewskiego w tej jednej tylko dziedzinie, którą on najplenniej obsiewał? Naprzód dzielny, ale już ciężkie brzemię lat dźwigający weteran — Jeż, któremu wszakże czas tak długo żyć nie pozwoli, jak my byśmy pragnęli. Dalej — Orzeszkowa. Duży i płodny to talent, a przytem najzacniejszemi pragnieniami oddychający, więcej wart, niż go dotąd oszacowano, bo godzien nie pochwalnych ogólników, ale krytycznych studyów. Sienkiewicz, dziś nad innych wywyższany, niewątpliwie lwią okazał siłę. Wystawił dwa olbrzymie obrazy powieściowe, które tu i owdzie zdradzają pośpiech roboty i umizgi do przesądów kosztem artyzmu, ale jest on wyniosłą kolumną gmachu naszej literatury. Prus dał jej prześliczne ozdoby, mogące przystroić najbogatszą. Obok tej młodszej trójcy, dopowiada swoje ostatnie słowa w powieści Zacharyasiewicz i Marenowa, nie ustaje w pracy Bałucki i Sewer, widać w dalszym szeregu grupkę mniejszych wzrostów, a po za nią już tylko drób literacki, potrzebny i użyteczny dla pism peryodycznych, ale nie sięgający znaczeniem po za praktyczną użyteczność chwili. Kaczkowski, który niegdyś potężnie piórem władał, tak rzadko je dziś ujmuje dla piśmiennictwa, że do talentów żywych zaliczać go trudno.

Oto są siły, które mają dalej ponieść arkę powieści polskiej, dotąd przeważnie spoczywającą na ramionach Kraszewskiego. Czy im ona zbyt nie zacięży? Ubył bowiem z szeregu nie jeden, ale wielu w jednym. Gdy nieraz czytaliśmy lekką ręką pisane nominacye, nadające zwykłym szeregowcom lub nawet ciurom rangę pułkownika lub generała, zdawało się może komuś przez chwilę, że Herkules nie umrze bezdzietnie, że nawet zostawi liczną rodzinę wielkoludów, które powoli się rozrosną i spotężnieją. Zegar czasu wszakże wiele już godzin wybił, w zarybku literackim dojrzało mnóstwo tłustych kiełbi i piskorzów, które rybacy łowią bardzo gęstemi sieciami i wrzucają do wody z zapowiedzią pomyślną, a sztuk dużych nie przybywa. Tylko na sadzawkę naszej prasy wpłynął obficie żabi skrzek, z którego wylęgają się całe ławy nowelistów i nowelistek, rechoczących w niej codziennie jednostajnym chórem. Nic zwyklejszego nad złudzenia, których doznajemy, trzymając w ręku jakieś cacko, jakiś zgrabny wyrób galanteryi piśmienniczej i poważnie twierdząc, że to jest coś wielce kosztownego i spocznie kiedyś w muzeum chwały narodowej. Zając w paprociach ulega zapewne tej samej iluzyi. Mianowicie mniema on, że te paprocie stanowią las, który daje bezpieczeństwo nietylko jemu, ale największym zwierzętom. Czasem, wbiegłszy do boru, spostrzega niebotyczne sosny, ale nie przestaje cenić paproci i wierzy, że one dla tego rosną przy ziemi, ażeby go liściami okrywały. A przyjdzie i na nie czas: popędzą w górę i będą sosnami. Tak zdaje się wielu krytykom śród literackiego badyla. Niestety, paproć wyrasta z innego nasienia, a sosna z innego i nigdy pierwsza drugą nie będzie. W obliczaniu też naszych sił powieściowych uwzględniać trzeba tylko bardzo szczupłe grono talentów prawdziwych, a resztę wpisywać na rachunek potrzeb chwilowych rynku, który nie mogąc wszystkich obdzielić złotem, sprzedaje tombak i mosiądz. Ten interes chwilowy wpływa potężnie na cenę rzeczy i ludzi, błąkając opinię w rozpoznawaniu wartości. Cała Europa brzmi sławą Sardou, a za lat 50 nikt o nim wiedzieć nie będzie. Gdy zdechł niedawno koń wyścigowy Kinczem, rozesłano telegramy o jego śmierci do najdalszych kątków cywilizowanego świata; gdy przedtem zmarł w Londynie słynny dżokej, prasa pomieszczała jego życiorysy, a książęta przepłacali na licytacyi po nim pamiątki. Tymczasem gdyby zmarł (niech najdłużej żyje!) Prus, wiadomość o jego zgonie nie doszłaby nawet do Katowic.

Oto, jak wygląda cennik znakomitości w Europie. Według niego nabywa i sprzedaje swe sądy ogół, w którego oczach literatura rodzima obejmuje zawsze większą rozległość, niż posiada rzeczywiście, bo jej granice rozszerzane bywają po za kresy właściwe aż do tych dzielnic, które zamieszkuje ludność z wyrobku pisarskiego żyjąca, przekuwająca złoto talentów na drobną monetę. Jeżeli odtrącimy tę ludność, która imponuje liczbą, jeżeli ograniczymy naszą uwagę do obrębu literatury istotnej, jeżeli nadto rozejrzymy się w obrazie naszego życia duchowego podczas ostatnich lat 50, to dopiero zrozumiemy, kim był Kraszewski i kto w nim nas opuścił. Cała chmara drobnych ptasząt jest garścią robaczków świętojańskich wobec tego kolosu.

Spróbowano w najogólniejsze wyrazy nekrologów ująć jego prace i zasługi, które przed laty kilku pomieszczono zbiorowemi siłami w wielkiej księdze. Daremne to usiłowanie! Kraszewski był umysłem wyjątkowo płodnym i wyjątkowo wielostronnym, nietylko w historyi naszej, ale powszechnej. Patrzyliśmy na niego zblizka, sam on odsłaniał tajemnice swej zdumiewającej twórczości, i mimo to pozostał nierozwiązaną zagadką. Jakim sposobem człowiek wątły, chorowity, przez burze często unoszony, mógł napisać około pół tysiąca, a gdyby starannie wszystko zebrać, około tysiąca tomów, tego nikt nie objaśni. Nie żądając niemożliwości, ażeby każdy strumień był głębokim i porywającym, zważywszy natomiast szeroki ich rozpływ w społeczeństwie, pomyślmy, jak potężnie ten jeden umysł oddziałał na swój naród, zwłaszcza że nie było doniosłej sprawy ogólnego znaczenia, w której by on głosu nie zabrał. Przez lat kilkadziesiąt nazwisko jego było dla większości ostateczną instancyą wszelkich sporów, mieczem rozcinającym najzawilsze węzły. Bo i umiał wzbudzić zaufanie. Konserwatysta w zasadach, posiadał szeroką pojętność dla zdań i kierunków odmiennych, właściwą wzrokom daleko widzącym. Każde nowe tchnienie czasu przeradzało jego krew, nigdy nieskrzepłą, każdy prąd przysuwał go do nadpływającej fali postępu. Chociaż ciążył ku przeszłości, powietrze epoki wdychał pełną piersią i nie radził społeczeństwu zatykać przed niem szpar i otworów. Artysta we wszystkich upodobaniach i sądach, omijając nawet prawdę brzydką, łatwo dostrzegał najdrobniejsze znamiona piękna i skutkiem tego nadzwyczaj szczęśliwie pobudzał rozwój kiełkujących talentów, które do niego się zwracały. Zarzucony stosami płodów, których

ojcowie prosili o błogosławieństwo, umiał w każdym dopatrzeć i wskazać jakiś znak, upoważniający do dobrej wróżby. Od niego nikt nie odchodził zniechęcony. A ilu się cisnęło! Kraszewski odpowiadał na *wszystkie* listy. Jego korespondencya zebrana utworzyłaby małą bibliotekę.

Los, jak gdyby dla pomnożenia szczupłego zastępu sił dzielnych i ustosunkowania ich do ogromu zadań, dał nam człowieka, który zastępował całą gromadę ludzi znakomitych i za nich pracował. Człowiek ten wydawał się legendowym bohaterem, któremu powierzono dokonanie dzieła, wymagającego trudów zbiorowych. Powieściopisarz, dramaturg, poeta opisowy, liryk, historyk, archeolog, filozof, moralista, polityk, socyolog, krytyk literacki, estetyk, muzyk, malarz — jakaś wielotwarzowa postać mityczna, przerastająca normy ludzkie. Każdy z tych pierwiastków był w nim niezmordowanie czynnym i działał współcześnie z innymi. Rachunkiem czasu dowodzono, że jego płodność bez obcej pomocy jest niemożliwą. Poskarżył się na to podejrzenie publicznie i powołał na fakt, że wszystko pisze ręką własną. Tak jest. Papier przez niego zużyty, niewątkimi skrawkami sklejony, opasałby ziemię.

Do karlej małości kurczysz się w własnem przekonaniu, gdy pomyślisz o tym tytanie i jego pracy. Czemże jesteśmy wobec niego my, na jednym tomiku jadący ku nieśmiertelności, mocno popychani przez przyjaciół? Czy najpracowitsi nie są jeszcze lazzaronami, wygrzewającymi się próżniaczo na słońcu?

Już w ostatnich latach, gdy olbrzym ten, przywalony brzemieniem nieszczęść i cierpień, często opuszczał bezwładne ręce, powieść nasza uczuwała wyczerpanie. Napływy świeżych soków były zbyt skąpe i rzadkie, ażeby ją w dawnym rozroście utrzymać mogły. Dziś po zgonie Kraszewskiego ta jej niemoc objawi się jeszcze wyraźniej. Jeż, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus, wszyscy razem nie zastąpią go w płodności, a chociaż ofiarują literaturze perły, niedługi nawleczo ona z nich sznurek.

Krepą przepasane pióro nasze mimo woli i wiedzy odchyla się od przedmiotów innych i kłoni ku niezapomnianej mogile. Niepodobieństwem jest dziś grzebać się w prochu drobnych spraw dnia, dopóki stoi przed nami ten duch wielki, świeżo rozebrany z ciała. Czegokolwiek dotkniesz, wszystko wobec niego małe i mizerne, wszystko gdzieś ściele się nizko pod jego stopami. Darujcie mi więc, że nie opowiadam wam wędrówki żółwiów podczas minionego tygodnia, tej wędrówki, która zwykle wypełnia nasze życie. Myśl, puszczona po tych śladach, szybko zbacza do obrzuconej wieńcami trumny. Dopóki nie umilknie ostatnie echo dzwonów uroczystego pogrzebu, trudno pisać protokół powszedniości.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

„Zniżenie drabiny cywilizacyjnej.“ — Wpływ dworu na moralność ludu. — Dwóch księży i trzy typy wójtów. — Pisarz postępowy i chłopi konserwatyści. — Obrona żydówki przez rycerzy siermiężnych. — Areszty gminne. — Chłopski żołądek. — Co robią włościanie, żeby módz pić wódkę? — W czem leży przyczyna pijaństwa? — Płaca robotników w gub. mińskiej. — Nędza i występek. — Udział w spisku za 3 ruble i wydanie spiskowca za 5 rubli. — Petarda radomska.

Od pewnego czasu *Kaliszanin* dość często porusza sprawy włościańskie; szkoda tylko, że ich głębiej nie bada. W jednym z artykułów przychodzi do wniosku, iż „lud nasz niezawodnie zniżył się na drabinie cywilizacyjnej, odkąd obcowanie chaty z dworem stało się zjawiskiem rzadkiem.“ Ciekawa rzecz, jakie też istotnie było owo podnoszenie się po drabinie cywilizacyjnej? O ile wiadomo, dawniej łączność tych dwu warstw społeczeństwa polegała nieraz tylko na demoralizowaniu dziewcząt wiejskich przez młodych dziedziców i paniczów. I dziś nie jest to „rzadkiem zjawiskiem.“ Zachodzi tylko ta różnica, że parobek, zrzuciwszy poddaństwo z karku, śmielej zagląda w oczy „starszej braci“ i nawet odważa się czasem pomacać pańskie kości za „niewinne“ igraszki z jego oblubienicą, albo siostrą. Ten hamulec bodaj że jest przyczyną osłabienia wpływu dworu na chatę. Biedna ta moralność ludu, zależy, jak mówi *Kaliszanin*, od dworu i pracy proboszcza. Nie omylił się, bo w stosunkach szlachty z chłopami wszystkie cechy obu tych klas ujawniają się, jak w pożyciu codziennem dwóch kolegów, zmuszonych mieszkać razem i jadać ze wspólnej misy. Najdrobniejsze ujemne rysy charakteru, które mogłyby drzemać lata całe, niedostrzeżone przez nikogo, muszą przy ciągłem stykaniu się dwóch osobników wyleźć z worka, a nieposkramiane — urosnąć do potwornych rozmiarów. Szlachcie, zajmującej wyższy szczebel umysłowy, należałoby więcej zwracać uwagi na kształcenie swego charakteru, a wtedy i chwasty na gruncie chłopskim łatwiejby usychały. Przy głębokiej religijności włościan, stanowisko księdza dałoby się znakomicie wyzyskać na ich stronę moralną, gdyby nie to, że proboszcze chętniej własną, niż pańską uprawiają winnicę. Kto ma czas i cierpliwość, niech ze świecą szuka takich księży, coby doskonale rozumieli potrzeby swoich parafian i mogli pozyskać ich bezwzględne zaufanie.

Niedawno spotkałem chłopa, któremu los pozwolił wzbić się znacznie wyżej nad poziom umysłowy towarzyszów swoich. Z rozmowy dowiedziałem się wielu rzeczy. W gminie odbywały się wybory na nowego wójta. Włościanie koniecznie chcieli zrzucić starego, co od lat 18-tu zalewał im smołę za skórę. Proboszcz, przychylny dla pokrzywdzonych, brał szczery udział w tej sprawie, narażając się nawet na własne upokorzenie. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie omyłka: głosujących za nowym wójtem wzięto za stronników starego. Włościanie, za późno ochłonąwszy ze zdumienia, daremnie płakali i prosili o zmianę tak niespodzianie zapadłej uchwały. „Wybraniec większości“ teraz traktuje z góry swoich podwładnych. Gdy jaki nieborak przyjdzie doń z odległej wsi w ważnym interesie, wójt odpowiada dumnie z ławy: „Nie mam czasu! Przyjdźta jutro!“ Ma się czego dąć, bo oprócz zasług posiada jeszcze syna, księdza-wikarego. Ten, ucieszony powodzeniem ojca, pomyślał sobie: „Niema jak poczciwa skóra chłopska! Można z niej drzeć pasy, a krzyku nikt nie posłyszy.“ Dalej tedy do ojca i jego poplecników z osnutym planem: wygryźć starego proboszcza i zająć jego miejsce. Wójt o tem dawno sam marzył. Poszły więc skargi do wyższego pasterza na księdza proboszcza, ale biskup zrozumiał, o co chodzi i zamiast awansu, rozciągnął ścisłą opiekę nad żądnym pasania owieczek wikarym. Wójt, podpisujący się trzema krzyżykami, posiada widać wyższe zdolności, skoro potrafił przedstawiciela swego gatunku wznieść na takie wyżyny, skąd można wpływać moralnie na masy w myśl własnych interesów.

To jest typ wójta niepospolitego. Zwykły — to tylko cząstka pisarza, albo jego narzędzie. *Dziennik łódzki* opowiada o jednym, co żył sobie nieźle, poprzestając na cząstce dochodu, udzielanego mu przez pisarza, który za tak skromne wymagania nauczył go stawiać machinalnie litery swego nazwiska. Rad był prostak z nabytku, nie przeczuwając, że podpisze dekret na własną zgubę. Zażądano sprawozdania z gminy; przedstawiciel jej, uszczęśliwiony, że może się przecież pochwalić nie krzyżykami, ale nazwiskiem, położył je pod raportem, gdzie było powiedziane, że pisarz musi mieszkać w miasteczku, bo w zarządzie gminnym trudno się mieścić razem z wójtowską nierogacizną i drobiem.

Inny obrazek podaje *Tydzień piotrkowski*. Antoni Król dzierżył ster gminy lat 15. Przez cały ten czas pełnił jego obowiązki pisarz, który za częste i widoczne przekraczanie granicy gorliwości został nareszcie pozbawiony posady. Na jego miejsce przysłano młodego człowieka z wykształceniem sześcioklasowem. Spospępniał wójt, dręczony smutnem przeczuciem, że już dochodów mieć nie będzie. Gromada przyjęła z nieufnością nowego urzędnika. Młodzieniec pomimo to potrafił wkrótce pozyskać zaufanie większości. Trudniej było z przeprowadzeniem ulepszeń w gminie. Gdy szło o zebranie funduszów na założenie szkółki, Król odpowiedział:

— Ja tam już małych dzieci nie mam i do szkoły nikogo nie poślę.

Drugi raz chodziło o założenie szpitala, tudzież utrzymanie stałego doktora i akuszerki.

— Ja tam nigdy nie choruję — odezwał się jeden konserwatysta.

— Ja także nie!

— I ja, i my nie! — zawołali inni.

Większość milczała, nie chcąc narażać się wójtowi. Pisarz, niezrażony, jął przedstawiać potrzebę akuszerki na wsi, dowodząc, że śmiertelność noworodków się zmniejszy.

— Moja baba tam już stara — odzywa się jeden.

— I moja także!

— I moja! I moja! — powtarzają inni.

Okazało się, że w całej gminie prawie niema młodych mężatek.

Młodzieniec tak pięknie zaczął wykładać teoryę hygieny, że wreszcie wszystkich przekonał i projekt z ogólnem zadowoleniem podpisano.

Idealny pisarz! Prawdziwy obywatel, trochę przesadzony przez naocznego świadka, w każdym razie więcej takich, a nie powtórzą się wypadki, ściągające smutne następstwa na kark chłopski, jak to było niedawno w Sokołowskiem...

We wsi Kurowice wykryto sprzedaż wódki bez patentu. Żyd całą winę złożył na córkę, którą skazano na areszt kilkumiesięczny; ale dziewczyna, czując niesprawiedliwość, stawiła opór. Wójt zniecierpliwiony posłał pisarza i strażnika dla sprowadzenia żydówki. Matka aresztowanej, porwawszy nóż, broniła jej tak zawzięcie, że aż strażnik dobył szabli. Włościanie, świadkowie tej sceny, ujęli się za dziewczyną i pobili mocno drągami wykonawców rozporządzenia władzy.

Wypadek ten podaje korespondent *Wieku*. Tamże spotkałem jeszcze ciekawe szczegóły o aresztach gminnych. Po za kancelaryą znajduje się ciemny pokoik albo mała przystawka; to jest „areszt.“ Często niema w nim nawet garści słomy na legowisko dla więźnia. Kozy takie nie są nigdy ogrzewane. Nieszczęśliwy więzień, nie dość, że jest pozbawiony światła, ciepła, powietrza i barłogu, ale nawet strawę, złożoną najczęściej z chleba suchego i wody, nieregularnie otrzymuje. Dozorcą więziennym, a więc dostarczycielem takich rozkoszy jest pisarz gminny. (Wobec takiego stanu rzeczy, wypadek pobicia może być zupełnie wytłomaczonym). Areszty powyższe, przeznaczone z początku na więzienia tymczasowe, chybiają celu, gdyż służą nieraz do odsiadywania kozy kilkomiesięcznej. Włościanin za przekroczenie błahe, często nieświadomie popełnione, ponosi karę, godną kryminalisty. Pomyślmy sobie, że w tem samem społeczeństwie, obok takich urządzeń, istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Zdarzało mi się słyszeć następne zdania, wygłaszane przez szlachtę: „chłopska skóra nic nie czuje,“ „chłop wszystko strawi, bo ma żołądek strusi,“ „chłopski nos wszystko przyjmie bez obrazy.“ Inaczej mię przekonały fakty, naocznie stwierdzone. Nieraz przejeżdżając przez wieś, położoną w kałuży błota cuchnącego, widziałem dzieci wy-

nędzniałe, brodzące po kolana w bagnie. Zdejmowała mię ciekawość zajrzeć do wnętrza chaty; ciężkie, przesycone tam rozmaitymi wyziewami powietrze, niemożliwe do oddychania. Ludzie przy stołach, świnie przy piecach, kury na środku izby, jednocześnie spożywali pokarmy. W korycie kartofle tłuczone, osypane otrębami, na stole — kartofle suche.

— Czy wy tak codzień jadacie?

— A juści codzień. Czasem w święto człowiek se okrasi potrawę słoniną.

— Wszakże macie nabiał, trzymacie ładne krowy, kury?

— A ktoby nam kazał taki zbytek robić? Nabiał sprzedaje się na targu w mieście.

Tak więc produkty, niezbędne do wyżywienia ludzi ciężko pracujących, sprzedawane są na targach. Jaki to wpływ wywiera na zdrowie, najlepiej świadczą sprawozdania sanitarne. Są wsie, gdzie febry, tyfusy brzuszne i inne choroby gorączkowe, silnie niszczące oganizm, nie ustają nigdy.

Wobec tego można przyznać słuszność korespondentowi *Kaliszanina*, utrzymującemu, iż chłopski żołądek potrzebuje alkoholu dla sztucznej podniety. Istotnie, daje się powszechnie spostrzegać to zjawisko, że gdzie najlichsza strawa w użyciu, tam najbardziej pijaństwo się szerzy. Smutny taki obrazek maluje *Gazeta warszawska*. Z początkiem roku zeszłego wprowadzono w gub. kijowskiej nową ustawę o sprzedaży trunków; wskutek tego wiele patentów na wyszynk pozostało niewykupionych przez żydów. Natomiast obrotni włościanie skorzystali z tego prawa i sprzedają wódkę w opieczętowanych butelkach, gdyż w karczmie pić kwaterkami, według nowych rozporządzeń, nie wolno. Szynkarze radzi z tego, bo nikt nie może mniej niż za 15 kop. kupić gorzałki. Że zaś w domu żony gospodarne grzmocą mężów za pijatykę, zwolennicy siwuchy wynaleźli inny sposób — piją na dworze przed karczmą. Jest jeszcze jedna droga omijania przepisów. Ponieważ w gub. wołyńskiej nie obowiązuje nowa ustawa, zatem szynkarze przy samej granicy pobudowali karczmy, dokąd śpieszy lud z gub. kijowskiej raczyć się trunkiem według dawnego zwyczaju.

Zdaje mi się, że oprócz wymagania organizmu, działają tutaj jeszcze inne, silniejsze czynniki. Lud za mało ma dodatnich wrażeń, a za wiele trosk. Pierwsze potrzebuje spotęgować, drugie zagłuszyć; że zaś nie posiada środków na rozbudzenie moralnych przyjemności, musi uciekać się do alkoholu, skutecznego w obu razach.

W ostatnich czasach czytałem mnóstwo korespondencyj ze wsi. Wszędzie utyskiwanie na ciężkie położenie rolników, na zagrożenie ruiną itd. Zdawałoby się, że nikt, oprócz szlachty, nie cierpi tam więcej. W jednej tylko *Gazecie lubelskiej* znalazłem list z gubernii mińskiej, z którego się dowiaduję, „że robotnik na wsi jest bajecznie tani" w porównaniu z latami ubiegłemi. Po skończeniu robót w polu przez całą zimę nie więcej się płaci pieszemu, niż 10 kop. dziennie. Lud zubożały, przyprowadzony do ostateczności, dopuszcza się kradzieży, rozboju i podpalania. W powiecie słuckim, we wsi Niekraszach o 11 wieczorem przyszedł do właściciela majątku jeden z nędzarzy i oznajmił, iż przybywa z zamiarem podpalenia jego folwarku z namowy sąsiada, szlachcica zagrodowego, który go skłonił do spełnienia zbrodni za 3 ruble. Nieznajomy żąda od obywatela 5 rs. za wydanie zbrodniarza. Napastowany zapłacił żądaną kwotę i ujął złoczyńcę zaczajonego w pobliżu.

Ciekawym, jak sąd i moraliści na ten wypadek będą się zapatrywać. Robotnik za 10 kop. nie może wyżywić siebie i rodziny, decyduje się więc zostać narzędziem zbrodniarza za sumę, na którą musiałby pracować trzydzieści dni i zużyć taką ilość siły mięśniowej, jakiej liche odżywianie się nie wróciłoby może i za pół roku. Następnie wydaje złoczyńcę za pieniądze większe. Sumienie tu, czy przebiegłość przeważyła? Psychologiczny stan takich zbrodniarzy powinien być przed wyrokiem ściśle zbadany.

Chciałem widnokrąg zamknąć sprawami gminu, gdy nagle do naszej redakcyi wpadła petarda z Radomia w postaci listu reportera z dołączeniem szesnastu podpisów obywateli miasta, świadczących, jako sprawozdanie z balu rzemieślniczego, podane w 11-tym numerze gazety miejscowej, ze wszystkimi szczegółami jest prawdziwe. Bardzo mię ucieszył ten dowód demokratyzmu, broniącego zwartym szeregiem praw swoich. Oby tylko nie był to objaw zwykłych utarczek koteryjnych partykularza! Co do mnie, miło mi oznajmić, że chociaż spraw tego rodzaju „nie dotykałem ręką," miałem jednak sposobność *przyjrzeć się* im zblizka i razem poznać doskonale resursę radomską (gdzie część sali zakolumnową nazywam „drugą galeryą"). Inaczej nie zaufałbym bezwzględnie naszemu abonentowi, zasługującemu wszakże o tyle na wiarę, iż jego jeden podpis może przeważyć nawet wzmocnioną czterema domami szesnastkę. Reporterowi zaś radomskiemu za jego napomnienie odpłacam uwagą, że rad innym nie powinien udzielać, dopóki ich sam nie zużytkuje. Takie tylko są coś warte.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Główny zarząd więzień opracował projekt zmniejszenia pensyi naczelników i zniesienia posady ich pomocników w niektórych guberniach. Nowe etaty mają być wprowadzone w roku przyszłym.

Ministeryum skarbu postanowiło oclić nici zagraniczne na szpulkach do wysokości 9 rs. w złocie za pud, tudzież zagraniczne szpulki papierowe do nawijania przędzy do wysokości 2 rs. 40 kop.

Departament górniczy opracowuje stały i szczegółowy program szkoły górniczej w Dąbrowie. Oprócz przedmiotów specyalnych (sztuki górniczej, geodezyi podziemnej, metalurgii), będą wykładane początkowe wiadomości z nauk przyrodniczych: fizyki, chemii, mineralogii i geologii. Kurs nauk dwu lub trzyletni. Kończący otrzymają stopień „uczonych sztygarów." Szkoła ma być otwartą w roku bieżącym. Profesorów będzie czterech, z tych jednemu przypadną obowiązki inspektora.

Spółka spożywcza w Zawierciu liczy 111 uczestników, posiadających 180 akcyj 15-rublowych. W ciągu roku sprzedano towarów za 72.475 rs. 35 k., na czem zyskano 1,492 rs. 54 kop. Dochód brutto — 6,102 rs. 89 kop., czystego 890 rs. 48 kop. Wydatki administracyjne 3,158 rs. 40 kop.

Wynalazek. Jeden z tutejszych techników złożył w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu przyrząd elektryczny do kontrolowania biegu pociągów.

Handel ze Wschodem. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu urządza wyprawę handlową w celu zawiązania stosunków z Rumunią i Bułgaryą.

Zniesienie aresztu. Cała suma zaległej akcyzy cukrowej ze zwrotami premium wywozowego, wynosząca w okręgu warszawskim rs. 800,000, została opłacona w czasie właściwym, wskutek tego prokuratorya ma niebawem przystąpić do uwolnienia hipotek cukrowniczych od ostrzeżeń.

Projekt zmiany szkół. W sferach prawodawczych rozpatrywany jest projekt reformy szkół rzemieślniczych, technicznych i realnych. Nauka rzemiosł ma być wprowadzona do szkół elementarnych. Do przemysłowego kształcenia służyć będą realne z kursem pięcioletnim. Wykłady w tych ostatnich obejmą: rolnictwo, mechanikę, handel itd. stosownie do potrzeby warunków miejscowych. Obecne szkoły realne mają być albo zamknięte, albo przekształcone. *Nowosti* zarzucają temu projektowi, iż on wychowańcom szkół realnych i technicznych zagradza drogę do wyższego wykształcenia, która i bez tego jest ograniczona z powodu zamknięcia wstępu do uniwersytetów.

Zniesienie deportacyi. *Wostocznoje Obozrenie* donosi, iż wkrótce rozstrzygniętą będzie sprawa deportacyi na Syberyę. Uznano, iż dalej niepodobna wysyłać skazańców do ludnych guberni tobolskiej i tomskiej, oraz Syberyi wschodniej. Podniesiono natomiast inny projekt: główne więzienia etapowe w całej Rosyi europejskiej zamienić na stałe. Ma to kosztować około 4 milionów rubli. Po urządzeniu więzień na 10,000 osób, można będzie znieść: 1) wysyłkę na osiedlenia, 2) na mieszkanie, 3) ograniczyć osiedlanie włóczęgów do wyspy Sachalinu, 4) ograniczyć prawo gromad włościańskich do nieprzyjmowania członków gromady, wypuszczonych z więzienia, 5) zobowiązać gromady, deportujące swoich członków na Syberyę, do zaopatrywania ich w środki utrzymania na drogę i przez dwa lata na Syberyi.

Dochody i wydatki państwa rosyjskiego. W ciągu 11 miesięcy r. z. (od 1 stycznia do 1 grudnia 1886 r.) wpłynęło do kasy państwa 634,730,807 rs.; że zaś w tymże samym czasie r. 1885 dochody wyniosły 635,783,894 rs., przeto były większe o 7,946,913 rs. Zwiększenie wpływów osiągnięto w pozycyach: zwrot pożyczek 19,190,153 rs., opłaty celne 9,632,797 rs., za świadectwa na prawo handlowania 2,062,745 rs., akcyza 1.977,621 rs., akcyza od cukru 1,511,057 rs. itd. Zmniejszenie dochodów nastąpiło w pozycyach następujących: podatki 15.754,217 rs., opłaty stemplowe 3,240,895 rs., opłaty od biletów na kolejach żelaznych 491,643 rs. itd. Z zestawienia okazuje się, iż w r. 1886 zwiększenie dochodów w porównaniu z r. 1886 wynosi 10,086.974. Wydatki w ciągu 11 miesięcy 1886 wyniosły 656,780,279 rs., czyli o 34,477,267 rs. więcej niż w tymże samym czasie 1885 r.

Wydział prasy ogłosił zamknięcie, jako niewznowionych w terminie oznaczonym, 7 pism w Petersburgu, 5 w Moskwie i 1 w Kijowie.

Zakaz. Synod prawosławny ogłosił w organach eparchialnych, iż pismo p. t. *Ruskij raboczij* jest zabronione w państwie rosyjskiem.

Ministeryum sprawiedliwości przystąpiło do przejrzenia ustawy mierniczej z powodu projektowanej reformy wszystkich instytucyj mierniczych.

Nowa szkoła. P. Kasprowicz uzyskał pozwolenie na otwarcie w Warszawie szkoły dla dentystów.

Popisowi żydzi, wskutek obostrzonych przepisów, przy ostatnim poborze dostarczyli więcej rekrutów niż w latach poprzednich. Uchylających się od powinności wojskowej było 683, tj. o 256 mniej, niż w 1885 roku. Kary nałożone na rodziny zbiegłych popisowych wynosiły 158,700 rs.

Stypendya. Fundusze stypendyalne pod zarządem warszawskiego okręgu naukowego wynoszą w r. b. 1,655,880 rs. 82 kop. Procenty od nich przeznaczone na stypendya i inne cele naukowe — 104 515 rs. 72 k.

Ministeryum sprawiedliwości pracuje nad projektem zmian w obowiązującej ustawie notaryalnej. Formalności przy sporządzaniu aktów mają być znacznie uproszczone. Uległe zmianom porządek protestowania weksli w sposób ułatwiający tę czynność rejentom i posiadaczom weksli. Wreszcie ma być zmniejszony stosunek procentowy stempla do sumy kontraktowej, a natomiast obostrzone kary za przekroczenia przepisu.

Mechanicy telegrafu. W celu przygotowania mechaników telegraficznych, obeznanych z utrzymaniem aparatu i wysyłaniem depesz, urządzono na stacyi telegraficznej w Warszawie kurs dla t. z. dozorców. Zrana praca w szkole, po południu służba dla wprawy przy aparatach Morsa.

Magistrat Warszawy, uwzględniając podanie zarządu gminy izraelskiej, stara się o pozwolenie władzy wyższej na zbieranie dobrowolnych składek do wysokości 400,000 rs. na budowę nowego szpitala starozakonnych w Warszawie.

Epidemia. Z Wołynia donoszą *Wiekowi*, że ospa tam panuje straszna; napada szczególnie drobne dzieci. Pomocy lekarskiej niema żadnej.

Katastrofa. Na brzegu morza Azowskiego w czasie łowienia ryb, olbrzymi odłam lodu oderwał się i popłynął z szaloną szybkością, unosząc na sobie 300 ludzi z końmi i saniami.

Wielkie śniegi spadły w Monachium, Zurichu, Genewie, Braganzy, Salzburgu, Ischlu, Wiedniu, Debreczynie, Gleichenbergu i Gorycyi. W Tryeście przez cały dzień srożyła się śnieżna burza, przerywana deszczem. We Włoszech, południowej Francyi i Hiszpanii, śnieg pokrył wielkie przestrzenie i przerwał komunikacyę kolejową,

Samobójstwo archimandryty. Z Belgradu donoszą, iż przeor klasztoru w Pravanicy, archimandryta Nikodius, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Deficyt w kasie klasztornej miał być tego powodem.

Kantor Banku państwa w Warszawie. Urzędnikom, pobierającym po 1,000 rs. i wyżej rocznej pensyi, kazano przygotować się w ciągu dwóch miesięcy do złożenia egzaminu z języka rosyjskiego i z ustawy Banku państwa, tudzież ze znajomości prowadzenia rachunków podług zasad przyjętych w Banku głównym.

— Z powodu kradzieży Kiersza, wydelegowano do Warszawy p. Bilibina, prezesa Banku moskiewskiego, w celu dokonania rewizyi.

Prasa w Anglii. W Wielkiej Brytanii razem z Irlandyą wychodzi w roku bieżącym 2,135 pism peryodycznych. W samym Londynie 435; po innych miastach i miasteczkach właściwej Anglii 1,246, w Walii 84, Szkocyi 191, Irlandyi 158, na wyspach okolicznych 21.

Trzęsienie ziemi dało się uczuć w czeskiem mieście górskiem Birkenberg, pod Przibraniem, dnia 13 b. m. w nocy.

Stowarzyszenia akademickie w Prusach. Polacy, studenci uniwersytetu wrocławskiego, chcąc wznowić stowarzyszenia akademickie, udali się do ministra po objaśnienie co do warunków wskrzeszenia kółek. Minister odpowiedział: „Ze statutów nadesłanych wynika, że towarzystwo, które powstałoby na nowo, ma być polskie, na to pozwolić nie można, ponieważ sprzeciwiałoby się to reskryptowi ministeryalnemu z roku przeszłego."

Dary dla dobra nauki. Były prezydent uniwersytetu w Cornellu, w Stanach Zjednoczonych, p. White, ofiarował swą największą w całej Ameryce bibliotekę (30,000 tomów) tej wszechnicy. — Jonas Clark z Bostonu wniósł projekt założenia nowego uniwersytetu w Worcesterze i ofiarował w tym celu 1,000,000 dolarów w budynku, pod warunkiem, aby ta szkoła nie należała do żadnej sekty, lecz była własnością narodu amerykańskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Al. Ken. Niech Pan się zgłosi do naszej Administracyi.

P. Sut. w Moskwie. Wydamy, gdy opracujemy należycie.

L. F. Eug. Piwn. Pomimo wielu dobrych szczegółów — nie.

X. X. Ponieważ biedni mają z tego skorzystać, zrobimy, ale prosimy o cierpliwość.

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. J. S. rs. 24.

Dla chorego studenta. K. U. rs. 1, C. H. rs. 1, N. J. A. kop. 50, L. U. kop. 50, B. E. kop. 50. L. S. kop. 50, K. A. kop. 50.

Szan. abonentów naszych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty kwartalnej. Zarazem przedpłacicieli dzieła Morgana uwiadamiamy, że jego druk zbliża się do końca. Mamy nadzieję, że mała zwłoka, spowodowana trudnościami starannego przygotowania tak obszernej i w treść bogatej książki, będzie łaskawie uwzględnioną. W przyszłym miesiącu spodziewamy się dzieło to wypuścić.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Марта 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.